

MACIEJ WIERZBIŃSKI

WIELMOŻNY PAN LOKAJ

NOWELE.

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.

PRINTED IN POLAND
COPYRIGHT BY
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH



65264

K-168/76/71618

WIELMOŻNY PAN LOKAJ.

I.

— John, mam z tobą do pomówienia. Przyjdź do mego buduaru! — rzekła po śniadaniu wdowa po pułkowniku Aylesbury do swego kamerdynera w jasno granatowym zakiecie ze świecącymi guzikami, który z godnością wielkopańskiego domownika odsta-
wiał srebrne naczynia ze stołu na pięknie rzeźbiony kredens z orzechowego drzewa.

Głos jej zadrżał mimowoli uroczystą nutą, smagłe oblicze o ostro zarysowanych rysach powlokło się cieniem zakłopotania, jakby w prostym wezwaniu wyraziła wszystko, co miała na sercu. Spuściła oczy i, zabrawszy listy i gazety ze srebrnej tacy, powstała, szumiąc spódnicami.

Nic nie odrzekłszy, kamerdyner podniósł na nią zdziwiony wzrok, uderzony niezwykłym tonem swej żołniersko, zwykle lapidarnie przemawiającej chle-
bodawczyni, i patrzył się w jej energiczną twarz, jak w tuza, a gdy wyszła z jadalni, nie rzuciwszy nań swem żywym i bystrem okiem, ujął się pod boki i zwrócony ku zapadłym drzwiom z rozchylone-
mi ustami, zamyślił się. Z obłoku osłupienia wynurzył się wreszcie nieśmiały uśmiech, kiwnął głową wesoło, przymrużył jedno oko filuternie i sprzątał dalej ze stołu z taką opieszałością, z jaką leniwa

myśl jego krążyła wokoło zagadkowego zachowania się pani domu.

Ociągał się ze spełnieniem rozkazu; wszelki pośpiech bowiem sprzeciwiał się jego flegmatycznej naturze. Zresztą, jak każdy służebnik angielski, tak lękał się zapracować i zamęczyć, tak ociążał w wygodnym trybie życia, iż wszystko szło u niego w powolnym, ospałym tempie, mimo niepoślednią siłę muskularną, o jakiej mówiły kształty tego dobrze odżywanego, rosłego i barczystego chłopca lat trzydziestu kilku. Zanim wstąpił na schody, wiodące do salonu, gabinetu i innych pokojów wielkiego domu londyńskiego, zatrzymał się w obszernym przedsionku przed kryształowem zwierciadłem. Poprawił biały krawat i pikową kamizelkę, jak przystało na szanującego się lokaja, wyszczotkował rękawy i spodnie, pogładził dłonią płasko przyczesane blond włosy, co zachodziły na niskie czoło i uśmiechnął się do wizerunku swej przystojnej osoby, o postawie pokaznej, niemal pańskiej.

O swojej urodzie, którą mierzył łokciem, John Hopkins nie wątpił ani na chwilę. Wzrostowi i powierzchowności zawdzięczał doskonałe stanowisko w wiejskiej siedzibie lorda Wimborne, a potem u pułkownika Aylesbury, który zmarł wkrótce po objęciu przez niego lokajskich obowiązków. Powtórę, pleć żeńska nie szczędziła mu oznak sympatji, dlatego przyjmował je, jako rzecz naturalną, z pewnym lekceważeniem traktując oddaną sobie kucharkę z poblizka, z którą łączył go poufały stosunek, lubo w czasie nieobecności jej chlebobawców gospodarował w ich domu jak u siebie, a w dzień swych urodzin i na gwiazdkę odbierał od niej kosztowne podarki. Odwdzięczał się jej za to, biorąc ją czasem do teatru, gdy nie nawinęła się inna niewiasta, oraz udzielając jej cennych wskazówek, dotyczących biegunów wy-

ścigowych. Oboje bowiem grywali systematycznie w totalizatora, a John zasięgał języka u znajomych masztelarzy i wtajemniczonych w arkana turfu indywiduów, których nieprzeliczone mnóstwo wałęsa się po miejskim bruku.

Za innymi amatorami John nie ugiął się, lecz niemi też nie gardził, lubo czuł sobie wygodny stosunek z kucharką. Wyróżniał czarnowłosą Bessie, młodą pokojówkę jednej z przyjaciółek pani pułkownikowej. Zapoznawszy się z nią w czasie krótkiego pobytu w nadmorskiej osadzie Parkstone, w hrabstwie Dorset, gdzie obie te damy posiadały wile, odświeżył znajomość w Londynie. Wprawdzie obcowanie z nieokrzesaną, nieobytą w świecie prowincjonalną gąską nie licowało ze stanowiskiem *butler'a*, lecz Bessie, krew z mlekiem dziewczyna, wpadła mu w oko głęboko. Odczuwała ona różnicę zachodzącą pomiędzy sobą a dostojnym kamerdynerem i względny jego schlebiali jej wyraźnie. Jakoż chętnie wychodziła z nim na przechadzkę lub na widowisko, jednym słowem, „była słodką względem niego”, ale na tem się kończyło. Potulna, niby jagnię, w niektórych razach jednak okazywała się zuchowatą, nie pozwalając nawet pocałować się bez fanaberji. Mimo, że to „nierozsądne” postępowanie Bessie irytowało Johna, poczęła go nawiedzać myśl o ożenku. Nie zdradzał się z tem wszakże przed służbą i ostatecznie względ na ludzi, w których pojęciu spadłby nisko, odstraszał go od stanowczego kroku. Zresztą, chcąc później nabyć oberżę, życzył sobie za żonę wzbogacaną, elegancką kelnerkę, wogóle pannę posażną. Mógł się przecież podobać? Ot, sama pani Aylesbury dała mu do poznania, iż uważa go za przystojnego mężczyznę!

Było to pewnego ranka, gdy pięćdziesięcioletnia wdowa odbywała zwykły przegląd swych

mnoгих psów, wiszących na łańcuchach przy budach, któremi okolone były całe, wyasfaltowane podwórze. Już to kochała się w nich ona! Broń Boże, aby któremu z nich stała się krzywda, a jeśli ten lub ów inwalida zaniemógł ciężko, powstawał w domu taki rwetes i harmider, że John nie mógł prawie wypić szklanki piwa w spokoju. Wiele psów ratowała pani Aylesbury od niechybnej zagłady, nabywając z *home'u* dla zbłąkanych przez właścicieli nieodebrane i skutkiem tego zagrożone śmiercią sieroty, których pozbywała się, jak i gdzie się dało, aby znaleźć przytułek u siebie dla nowego legjonu znajdów. Każdy, wchodzący w jakimś charakterze w styczność z jej domem, prędzej, czy później musiał przyjąć jednego z faworytów. Doskonale wiedzieli o tem kramarze z sąsiedztwa, powolni jej życzeniom pod grozą utraty klientki, aczkolwiek zdarzało się, że owe podarowane psy się zawieruszały i przepadały bez śladu. Nad zgrają psów czuwał osobny posługacz, spędzając dni albo na przeprowadzaniu ich na przechadzkę albo na drzemce przy kuchennym kominie. Karmienie ich odbywało się prawie zawsze w obecności Johna, który, jako generalissimus w tem państwie, zdawał szczegółowe raporta najwyższej władzy o stanie ich zdrowia. Z biegiem czasu doszedł on do takiego obznajmienia z psiami dolegliwościami, iż wielokrotnie zastępował weterynarza z dobrym skutkiem. A nabyta w tym kierunku erudycja przejmowała go nie-małą dumą.

Tego dnia młody, kłapouchy ceter, wielce zbiedzony, a pod okiem Johna wyleczony z robaków i do-brze odpasiony, powitał panią Aylesbury radosnem szczeniem. Skomlał, łasił się, targał za łańcuch i wyskakiwał pełen dobrego humoru, który udzielił się jego pani. Dotknęła się ręką jego zimnego nosa i, spoglądając z zadowoleniem na lśniącą, ceglastą jego sierć, mruknęła:

— Przyszedł do siebie. Dobrze! John, przerobi-
łeś tego zdechlaka na ładne zwierzę. Choć, dam ci
za to suwerena.

Mimo swój wiek, objawiający się srebrzystymi
plamami powyżej uszu, pomaszerowała prosta, zama-
szysta i sprężysta w ruchach do pokoju, a John kro-
czył poważnie za nią z obliczem okraszonym zadowo-
leniem z pochwały i nagrody, co w sezonie wyścigo-
wym przyszła mu na rękę.

Wręczywszy mu pieniądze, pani Aylesbury po-
patrzyła się łaskawie na wygoloną jego twarz bez
wyrazu, o zdrowej karnacji i poklepała go dość sil-
nie po policzku, zacinając przytem rękę.

— Dzielny chłop, ani słowa!... Ruszaj teraz,
a nie zaniedbaj kulawego buldoga.

Oczy jej zatrzymały się na nim długo, objęły
krytycznie całą jego postać i przeprowadziły go do
drzwi.

Odtąd przyglądała mu się często, uważnie, z wi-
doczną przyjemnością. Wkrótce zaszczyliła go znów
takim lwim karesem i byłaby może wdała się w po-
gawędkę, gdyby nie zaskoczył jej wizyta ojciec Muph-
ry, Jezuita, żyjący trochę na uboczu od swego zako-
nu w ubogiej mieścinie portowej Poole. Lubo z rodu
anglikańskiego, pani Aylesbury od lat kilku ucze-
szczała do katolickich kościołów, sprawami katoli-
cyzmu zajmowała się gorąco, nie szcędząc także hoj-
nych datków na kościołek w nędznej siedzibie ryba-
ków i marynarzy, do którego zajeżdżała podczas swej
bytności w przyległym do Poole Parkstone. Ojciec
Muphry był zawsze miłym gościem jako człowiek,
o skromnej powierzchowności wprawdzie, ale inte-
ligentny, rozumny, z ogładą towarzyską i niepospo-
licie muzykalny. W młodości był nauczycielem mu-
zyki, lecz zakochany bez wzajemności w jednej ze
swych uczennic, porzucił swój zawód, aby szukać

ukojenia i pokoju dla zranionego serca na łonie kościoła. Nic idealno - erotyczna, wplątana w pasmo spokojnego i przykładowego życia, dodawała mu pomiędzy arystokratycznymi rodzinami w Parkstone tyle powabu, ile świetna gra na fortepianie budziła podziwu.

Po długiej rozmowie z nim w cztery oczy, pani Aylesbury zatrzymała go na obiad, w czasie którego ojciec Muphry strzelał z pod siwych brwi bladym, mądrym okiem w stronę kamerdynera, co jednakże uszło uwadze Johna.

Względem kleru i kościoła butler był usposobiony obojętnie, nie zaprzętał sobie tem głowy nigdy i jedynie na prowincji, gdy można było oczekiwać pięknych śpiewów chóralnych, uczęszczał do kaplicy anglikańskiej dla zabicia czasu i spełnienia powinności, spoczywającej na dystyngowanym lokaju.

Nie przypuszczał, aby odwiedziny ojca Muphry stały z jego osobą w jakiejś styczeńności. Natomiast wielokrotnie rozpamiętywał sobie głośny objaw łaski, jaka spłynęła na jego policzek z silnej dłoni pani Aylesbury, i zmierzając do jej buduaru, spodziewał się, że spotka go ten sam zaszczyt po raz trzeci, a może nawet suweren dostanie mu się w nagrodę za troskliwość, okazywaną jej faworytom.

W pokoju, wysłanym plecionką trzciniową, pożyczoną zielonkawymi pasmami, umeblowanym lekkimi sprzętami bambusowymi i przystrojonym bogactwem wytworknionymi tkaninami indyjskimi, makatami, mosiężnymi medaljonami i akwarelami widoków morskich, przechadzała się tam i napowrót Mrs. Constance Aylesbury z nożem z kości słoniowej do rozcinania papieru w rękę, machając nim niekiedy w powietrzu niby maczugą. Jej wysoka, ciemna sylwetka odrzynała się wyraziście od blado - żółtego tła gustownie urządzonego buduaru.

Gdy kamerdyner przestąpił próg, zajęła miejsce przy biurczku, upstrzonym kosztownymi cackami, w szczególności figurkami psów, i przeładowanem fotografiami syna, piastującego wysoki urząd w Szangaju, zamężnej córki, lady Erskine i miss Evelyn, młodszej córki, która, doszedłszy do pełnoletności i swego działu majątkowego, puściła wodze swej podróżomanji i, nie harmonizując z matką, najczęściej rozbijała namiot w Wenecji z dwiema podstarzałymi, niezamężnymi kuzynkami. Na jasnej tapecie zaś czernił się brązowy medaljon dzielnego pułkownika grenadierów gwardji.

— John, siadaj tu! — rzekła dama rozkazującym tonem, bez cienia zakłopotania, jakie znalazło do niej przystęp poprzednio, wskazując służącemu krzesło tuż naprzeciw siebie.

Na to oczy kamerdynera rozwarły się szeroko. Zdało mu się, że się przesłyszał, bo nic podobnego nie wydarzyło mu się w życiu. On, płatny domownik, miał zająć krzesło przy majątnej damie, skołigawonej wysoko! Po chwili wahania, przestępując z niemądra miną z nogi na nogę, przycupnął na brzegu krzesła ze skulonemi pod siebie nogami, z torsem wyprężonym, jakby postawą chciał wyrazić, że chociaż rozkaz spełnił i siedzi, pragnie stać i prawie stoi.

Iskra wesołości zatliła się w ciemnych, przenikliwych źrenicach żołnierskiej wdowy, która poniżyła się w opinji Johna, wąskie jej wargi rozwarły się do śmiechu, odsłaniając rzędy zdrowych zębów, a twarz z dwiema bruzdami, idącemi od nozdrzy ku kątom ust, dawniej może nieszpeta, teraz nieświeża, zmięta i czerwona, przybrała wyraz znamionujący głębokie ukontentowanie.

— Pomyślałeś ty kiedy o ożenku, John? — zagadnęła obcesowo.

W zakłopotaniu John przecierał dłonią kark i mrugał szybko powiekami.

— Zapewne ożenie się, chociaż...

— Ja ci powiem, co ty zrobisz, John. Posłubisz... mnie...

Skonfundowany, John drgnął, zerknął na nią i znów wiesił głowę. Czyliż dostał się on w świat zaczarowany? W głowie jego powstał zamęt, myśli hulały, niby wichrem pędzone, a on nie mógł pochwycić z nich żadnej, nie mógł ogarnąć umysłem oświadczenia, ani zrealizować jego doniosłości: I siedział bez słów, bez czucia, nawpół pijany, i drapał się po kolanach, powtarzając sobie w myśli machinalnie: „John... posłubisz.... mnie!”

Napróżno czekając odpowiedzi, pani Aylesbury podważyła mu brodę nożem, mówiąc:

— Patrz się na mnie, John! Słyszałeś, co mówiłam. Ojciec Muphry pobłogosławi nasz związek, poczem wyprowadzę się do hrabstwa Dorset. *John you lucky dog*, otóż spotkało cię wielkie i niezasłużone szczęście. Wyjdiesz na dzentelmana!

Na dźwięk tego magicznego słowa John poruszył się, jakby elektrycznym prądem tknięty.

— Czekaj cię wygodne życie — ciągnęła pani Konstancja. — W testamencie nie zapomnę o tobie. Tymczasem jednak nie myślę wcale schodzić z tego świata.

Ścięty z nóg, jakby ubezwładniony, John nie odzyskał jeszcze głosu. Słowo „dzentelman” grało mu koło uszu, niby fanfara trąbki myśliwskiej, fala radości podniosła się w nim i ogarnęła zmysły, lecz nie mógł wykrztusić ani sylaby, bo gdy wzruszenie zakradło się do prymitywnej, surowej jego natury, przybierało potężne rozmiary i rozpierało mu piersi... A gdy wreszcie miał odpowiedź na ustach, uprzy-

tomniał sobie, kogo ma przed sobą, i milkł, niemal przerażony.

Atoli rozpromieniona twarz mówiła dość pani Aylesbury, która bez zwłoki siadła na jego kolanach i oplotłszy mu szyję, wycalowała go serdecznie.

Wywarło to nań wpływ ożywczy. Oddał jej jeden i drugi uścisk, nie troszcząc się o to w tej chwili, czy młodą i ładną, czy też szpetną i starą całuje kobietę, bo jak żołnierz w boju, szaleł ogarnięty, rzucił się ślepo naprzód, nie pytając, kogo miecz jego usiecze.

— Słuchaj, John! — ciągnęła pani Aylesbury. — Służbę odprawię, na jej miejsce zaś przyjmę później inny personel ze względu na ciebie. Tymczasem trzymaj język za zębami; wszystko, co mówiłam, musi pozostać tajemnicą aż do ślubu. No, John, jesteś zadowolony?

Głośny, wesoły śmiech jej wtórzył pytaniu.

— Teraz idź, a nie daj nic poznać po sobie!

— Dobrze — wyszeptał i wyszedł jak pijany.

Oprzytomniał dopiero w izbie jadalnej dla służby, gdzie stangret palił fajkę, czytając pisemko brukowe. Tu, rzuciwszy się w krzesło, odetchnął głęboko, jakby znudzony nadmiarem wrażeń, i z przyzwyczajenia sięgnął po swą fajkę, lecz nie zatliwszy jej, zawołał:

— Fred, pójdziemy pod „Białego Łabędzia”. Poczęstuję cię piwem i cygarem. Nie, fuduję ci *pint* szampańskiego wina, abys nie wąpił, że masz do czytania z dzentelmanem.

Stangret nie dał się prosić i gawęda w traktjerni przeciągnęła się dopóty, aż pokojówka w zastępstwie swego ulubieńca forysia, wsunawszy głowę do przedziału szynkowego, przeznaczonego „wyłącznie dla dzentelmanów”, nie zawiadomiła stangreta, iż pani każała zaprzęgać.

Do kamerdynera zwróciła się z wyrzutem, że nie

pilnuje domu, na co on odparł jej opryskliwie i wy-
kpał ją w dodatku.

Po wyjeździe pani na miasto, udał się na po-
dwórce, wykrzyczał posługacza z powodu kulawego
buldoga, poczem rozparł się w honorowym krześle
w kuchni. Zapaliwszy cygaro, żartował z kucharką,
drwił z pokojówki z butną miną, ignorując jej po-
mocnicę, a na schadzkę z kochanką nie stawiał się
wcale. Gdy język go swędził, upominał się w du-
chu: „John, nie masz pisać ani słówka!” na pocie-
szenie odmieńając przez wszystkie przypadki najpięk-
niejszy w języku angielskim rzeczownik: *gentleman*,

II.

Na stromem wzgórzu, na ławce, spoglądającej
na ciche wody zatoki morskiej, spoczywał Mr. John
Hopkins w granatowym ubraniu, z marynarską czapką
na jasnej, kulistej głowie, paląc z rozmysłem krótką
fajeczkę, a przy jego nogach leżał na murawie po-
pielaty mopsik z pomarszczoną, czarno zabarwioną
mordą, z wywieszonym, zaślinionym językiem. Tłu-
sty, rozlany, widocznie zmęczony i dychawiczny, zia-
jał szybko i chrapliwie.

Palenie tytoniu stanowiło najważniejszą i bodaj
najmilszą czynność pana Hopkinsa, i zwłaszcza w ja-
sny, pogodny dzień majowy, siedząc na wolnem po-
wietrzu wśród malowniczej okolicy, gdzie czuł się
swobodnym, z prawdziwą rozkoszą cmokał drewnia-
ną fajeczkę z bursztynowym trzonkiem, ukołysany
w *dolce far niente* ciszą i wielkim spokojem, rozla-
nym w przestworach ożywczej atmosfery.

U stóp jego czerwonawo - fioletowy kobierzec
gęstego wrzosu wyścielał spadziste wzgórce, przety-
kany żółtem kwieciami janowca, pękami ostrzycy, pa-
proci i ostromlecza, porośły miejscami krzewami je-

zyny, i spadał aż na jego zbocza, gdzie jasno - żółte
piaski wiły się wstęgą wzdłuż brzegu sennej, błękitnej
zatoki. Po morza odpływie przybrzeżne piaski zapu-
szczały długie kliny i błotniste zagony w stojące wo-
dy, tu i owdzie jeno pokarbowane delikatnie podmu-
chem zefiru, a tak płytkie, że w wielu miejscach zie-
leniły się oliwkowe plamy przegniłych traw, po któ-
rych brodziły mewy. Skrzydła ptactwa bieleły się zda-
ła, odbijając wdzięcznie od ciemnych zarośli i błado
błękitnej toni. Dalej na głębinach, ciemniejszych
w tonie, sterczał szereg czarnych pali, wytykających
szlak dla statków, co zawijały do portu Poole? Prze-
ciwległy brzeg dużej, okrągłej zatoki zaznaczał się
w dali szarym grzbietem ugorowych wzgórz, rozwie-
szonych wysoko na niebios błękitnie. Na środku wód,
nacentkowanych żaglami i czólnami, panowała gó-
rzysta wyspa owalnego kształtu, pokryta skostniałym
lasem dębów, buków i drzew iglastych, a przez po-
nury ich płaszcz przeświecały zrzadka szmatki
uśmiechniętej murawy wiosennej. I piętrzyła się
dumnie, przysłaniając część zamorza, jakby nie chcąc
ukorzyć się przed wyniosłym łądem stałym. Na skra-
ju jej przeglądało się w wodzie kilka otynkowanych
domostw o płaskich dachach i spozierało w stronę
wąskiego międzymorza, którego piaskowe zasy, tu
i owdzie wrzosowiskami porośnię, zakreślały sierp wo-
koło południowej części zatoki. Za murem tych bia-
łych wydm biegła szarfa morza — nie tego morza
przystani, wciśniętego trwożliwie w opiekuńcze
ramiona ziemi, lecz śmiało stawiającego czoło wichrom,
o cudnym, głębokim, grzywami fal pobielonym szafi-
rze — i podpinająca jasne sklepienie niebieskie. Z cie-
śniny, odcinającej język łądu od zamorza, wynurzały
się kształtne jachty, do białych ptaków podobne,
i czarne czółna rybaków, wracające z połowu homa-
rów, któremi słynie ta okolica. Lecz próżno szukałoby

oko imponujących rozmiarami okrętów na pogodnej, miljardami błysków drgającej płaszczyźnie. Mielizny i bagniska obniżyły znaczenie doniosłego ongi portu tak, iż wypoczywają w nim tylko barki i spacerowe parowczyki i wyjątkowo zaszczyca go krótką wizytą szalupa, lub torpedowiec marynarki wojennej. Jakoż miasto Poole spoczywa na północnym krańcu zatoki jakies martwe i z zielonego wzgórze w Parktone zarysowuje się niewyraźnie, spowite w obłok dymu fabrycznego, oraz wód matowe pary, naszpikowane kominami i wieżami kościołów.

Z tym krajobrazem John zbratał się w ciągu ośmiu miesięcy, spędzonych w willi swej dostojnej małżonki. Żywiłowo odczuwając malowniczość krajobrazu, wyciągał się cały na piersi przyrody i żył życiem roślin.

Po za nim leżało Parkstone-on-sea, osada rozsypana bezładnie po wzgórzach i parowach, jedno wielkie legowisko will, co skryte jedna przed drugą w bukiety krzewów i ogrodów, schroniły się w to zacisze przed zgiełkiem światowym. Na szczycie góry, tuż poza zwirówką, dzielącą pana Hopkins od kołczastego żywoplotu, nad którym stróżował rząd akacji, bżów i jarzębiny, królowała obszerna willa Sans-souci z facjatka, ulubiona siedziba pułkownika Aylesbury, i podniosła głowę z głębi ogrodu nad wierzchołki drzew, jasna, gdzieniegdzie pokryta łuską bluszczu i róż dzikich, spoglądając z góry na inne, świetne wille, co usłały sobie gniazda poniżej w dolinach. Cała osada oskrzydlała ją półkolem, na którego krańcu stały, niby żołnierze na warcie, grupy starych sosen o wachlarzowych wierzchołkach, ciemne, poważne i służbiste. Pas murszowatej ziemi, pola zbożowe, gumna, fermy i wreszcie nieprzenikniony bór iglasty zamykały przestronną sielską panoramę.

Na zwirówce było pusto. Przemknął się dwuko-

łowy wózek piekarza, niekiedy dawał się słyszeć chrzęst welocypedu, zresztą żaden szelest nie zakłócał spoczynku wyzłoczonej majowem słońcem natury. Nic też nie odrywało pana Hopkinsa od fajki, aż dopiero ocknął go głos łagodny i uprzejmy:

— Jak się pan miewa, mr. Hopkins? Piękny czas.

Niepostrzeżenie podszedł ku niemu *Father* Murphy z Poole, w czarnym kapeluszu filcowym, z łaską w rękę i przysiadł się do niego na ławkę.

— *Hallo!* — powitał go ex-kamerydner, uradowany ze spotkania. — Dodał droga? Do nas?

— Żałuję bardzo, że nie mogę dziś wstąpić i zapytać o zdrowie pani Hopkins. Mam nadzieję, że miewa się ona dobrze. Spieszę na herbatę do lady Brassey, która, jak panu wiadomo, żywo zajmuje się naszą szkółką.

— A tak! — rzucił zbywająco John swemu przyjacielowi, jedynemu, jakiego posiadał w t. zw. towarzystwie. Przed ślubem spędził pewien czas w skromnym probostwie w Poole, gdyż Jezuita tłumaczył mu zasady wiary i przyjął go na łono swego kościoła. Te kilka tygodni zaliczał John do najprzyjemniejszych perjodów swego życia, bo ojciec Murphy umiał w sposób taktowny podsycać w nim poczucie dumy z niespodzianego wywyższenia w hierarchii społecznej i postępowaniem pełnym szacunku zdał się wyznawać, iż sam na niższym stoi szczeblu. I John, który apatycznie zgodził się na odszczepieństwo, wpisał się z radością w kongregację kościoła, do którego zaliczali się wielcy panowie i magnaci, jak margrabia Ripon i książę Norfolk.

— Wracając od lady Brassey, niechaj ojciec wstąpi do nas na partję bilardu, co? — rzekł John, klepiąc Jezuitę po kolanie.

— Skorzystam z zaproszenia innym razem, bo

dzisiejszy wieczór przyjdzie mi spędzić w willi Bungalow. Jak stoi sprawa *home'u* dla starych i schorzałych psów?

— Pani Hopkins zajmuje się tem gorąco. Zdaje mi się, że poszła pomówić w tej materji z pannami Hollers, naszymi sąsiadkami.

— Bardzo chwalebnie, że przykłada pan rękę do tego dzieła — wyszeptał z uznaniem proboszcz.

Wprawdzie John nie poczuwał się do zasługi, ale słowa te pogładziły mile jego próżność i zaczął z powagą, w liczbie mnogiej:

— Postanowiliśmy wnieść ten zakład pod Londynem. Już oddawna wysyłamy do dwóch podobnych przytułków wiele z zakupionych znajdów, za których utrzymanie płacimy od półkorony do korony na tydzień, stosownie do ich wielkości. Wskutek braku pomieszczenia, przyjmujemy do siebie nie więcej nad trzydzieści do czterdziestu szlachetniejszych okazów.

Nie było to dla ojca Muphry nowiną. Wysłuchał wszakże Johna z zajęciem, poczem wstając, rzekł:

— Lady Brassey będzie zachwycona, gdy ją wtajemniczę w działalność państwa. Mam z nią do pomówienia w sprawie bazaru, jaki zamierzamy urządzić na rzecz naszej szkółki w sierpniu, gdy zjedzie do Parkstone kilku wybitnych parafjan. Z pewnością nie zbraknie w naszym gronie pana i pani Hopkins?

— Przyjedziemy, nie ulega wątpliwości! — zawołał John, lubo nie był pewnym, czy żona zabierze go z sobą. A miał wielką ochotę spędzić chociaż kwadrans w salonie z ludźmi krwi niebieskiej, którzy z innej wydawali mu się ulepieni gliny. Powtóre, w Parkstone nudy były straszliwe.

— Możeby kilka z naszych psów wystawić w bazarze? — dorzucił, dumny ze szczęśliwej myśli. Lecz Jezuita przybrał na to powątpiewającą minę.

— No, oczekuję ojca wkrótce na partyjkę bilardu — rzekł przy pożegnaniu i po odejściu Jezuita westchnął, bo żal mu było rozstawać się z miłym towarzyszem.

Z kim miał przestawać? Niepodobna, aby dżentelman zwracał uwagę na służbę, dawnych znajomych, a tymczasem z domami pańskimi pani Hopkins nie utrzymywała teraz stałych stosunków. Jeśli zaś wychodziła z wizytą, jej małżonek pozostawał w domu i pilnował psów.

Wypaliwszy fajkę, wyczyścił ją sumiennie, nalałował świeżą i znów cmokał, przyglądając się do dychawicznemu mopsowi, to jachtowi, szybującemu do brzegu, gdy posłyszał za sobą kroki i ujrzał wysoką, kościstą damę, odzianą w gustowną czarną suknię, idącą szybko pod górę z parasolką w rękę.

— Panny Hollers — zaczęła pani Hopkins — zamierzają oddać do naszego przytuliska swego pokojowczyka, cierpiącego na nosaciznę, chociaż przypuszczam, że w ostatniej chwili nie będą mogły się rozstać ze swym wstrętnym Spot'em. Stare panniska! — wzdrygnęła ramionami, a gdy siadłszy na ławce, wzrokiem rzuciła na strudzonego psa, twarz jej, zwykle czerwona, poczerwieniała jeszcze więcej i zawołała:

— Ty zabijesz to stworzenie! Jak mogłeś wlec z sobą na spacer i jeszcze pod taką górę tego chorego nieboraka?! Patrz na oczy jego krwią nabiegłe! Słyszysz to chrapanie?!

— Co mnie będziesz uczyła! — obruszył się pan Hopkins, dotknięty wymówką. — Nie mam wiedzieć, co dobre dla psa? Mało to ich leczyłem, co? Dawniej umiałem się z niemi obchodzić, a teraz miałem zapomnieć? *No fear!*

Przez niejasne „dawniej” John określał delikatnie przedślubny, kamerdynerski okres życia.

— Na miłość Boską, nie postępuj się tak gmin-nemi zwrotami! Gdy „r“ wymówisz, twój żargon z Hampshire w uszy mnie kole! Czyliż nigdy nie zro-bię z ciebie dżentelmana? I czegoż to dokazałeś? Głupstwo i kwita! Moppy dychawiczny, jak był! Za-bijesz mi psa!

— To doglądaj go sama!—wybuchnął John, pon-sowy na twarzy. — Zdechnie za tydzień, założę się. Wolę brać z sobą tego wesołego *pointer'a*.

— Śliczna sprawa! — krzyknęła pani Konstan-cja. — Zamiast prowadzić go cały czas na rzemyku, aby pies nauczył się pilnować nogi, spuściłeś go wczoraj, i pies gonił konie i krowy po błoniach, jak szalony.

— Dobrze, że się psisko przeleciało — bąknął pokornie John, poczuwając się do winy.

Na to pani Hopkins sarknęła i wzruszywszy ramionami, oddaliła się z pogardą.

Jak nawałnice przychodziły częste wybuchy jej złęgo humoru niespodzianie, i wonczas wylewały się wszystkie domowe kwasy na głowę Johna. Gdyby „dawniej“ zrobiono mu podobną scenę, *butler* byłby wypowiedział służbę w tej chwili. Tymczasem, jako małżonek i dżentelman, musiał znosić wszystko, od-gryzając się jedynie, gdy dotknięto go w czułą strunę, w godność dżentelmana.

Któż bowiem mógł o tem wątpić, że był prawdziwym dżentelmanem? Nie pracował przecież na utrzymanie, żył jak pan, ubierając się do obiadu we frak lub w „smoking“. Krawiec, adresując do niego rachunek, pisał wyraźnie przy jego nazwisku: *Esquire*. Powtórę, w kościele siadał w pobliżu lady Brassej, która obecnie notowała sobie w pamięci zasługi jego, Johna Hopkins, na niwie hodowli i dobrobytu psów. A ożeniony był z damą z wysokiego stanu, która bądźco bądź posiadała wykwinne maniery, gdy chcia-

ła. Czyliż tak wysoko urodzona kobieta pokochałaby nie dżentelmana?

Wśród takich dumań *ex - kamerdyner* palił trze-cią fajkę, poczem udał się na podwieczorek, przypo-minając sobie, że *savoir - vivre* zabrania surowo pozostawiać łyżeczkę w filiżance herbaty, za co niedawno wykrzyczała go żona. Mimo to^o wszakże, że nie ską-piła mu ostrych przycinków, przemilczała o spostrze-żeniu, fermentującym w głębi jej umysłu, że lubo, ja-ko kamerdyner, John robił wrażenie dżentelmana, ja-ko dżentelman dziwnie przypominał jej kamerdynera.

Podwieczorek upłynął w harmonji, bo pani Kon-stancja wobec służby toczyła wojnę tylko półgęb-kiem, powtórę, wyszumiała przy spotkaniu męża na ławce, i to znacznie jej ulżyło na wątrobę.

— Dokąd się wybierasz? — spytała go małżonka.

— Przejadę się łódką — odrzekł zbywająco.

Zamilczała, wszelako z balkonu ponad facjatką, skąd uderzał na podjazdowym trawniku wspaniały klomb bujnych rododendronów z fioletowem i pon-sowem kwieciem, śledziła męża, który puścił się w kierunku prymitywnego, drewnianego pomostu, słu-żącego rodzinom zamieszkującym pobliskie wille. U końca jego spoczywał rój czółen.

Gdy łódka, unosząca Johna, zakołysała się, pani Hopkins nie spuściła go jeszcze z oka, ciekawa, w którą pokieruje się stronę. Wiosłując z pośpiechem, aż woda pluskała, zmierzał on na skraj międzymo-rza, gdzie wznosiły się czworaki, zamieszkałe przez majtków, rządowych strażników wybrzeża. Po nad czerwonym dachem sterczał w głębi komin, zdradza-jący inne domostwo — dostatnią gospodę „Pod przy-stanią“, gdzie okolicznościowo zatrzymywali się wła-ściciele jachtów, a latem przybywało kilka familij dla kąpieli morskich.

Do *Haven Hôtel* śpieszył pan Hopkins na poga-wędkę z gospodarzem, panem Middleton, nie zdra-

dzając przed swą połowicą, że w serdecznej był z nim komitywie. Bo pan Middleton przed kilku laty czyścił buty w jednym z hoteli w Poole. Jakim sposobem obrósł w pierze, było tajemnicą, dość, że pośluźbiwszy przystojną kelnerkę, wziął w dzierżawę hotelik i na tem pustkowiu oboje — jak stugębna głosiła fama — przepijali do siebie... zyski.

Zimową porą, gdy dom zajezdny stał pustką, John grywał z nimi w *nepa*, ulubioną grę w karty słujących, debatował o szansach biegunów wyścigowych, lub trawił godziny na opowiadaniu tłustych dykteryjek, odziedziczonych w spuściznie po minionych czasach i troskliwie przechowywanych w futerale umysłowym. I nieraz bolał w głębi serca, że musi spoglądać na zegarek, aby nie spóźnić się na obiad, że nie może przynajmniej raz na tydzień, jak dawniej, rozporządzać dowolnie całym wieczorem.

Gdy nadeszła wiosna, jachty zaczęły zarzucać kotwicę przy cieśninie, a więc obce pojawiały się twarze, wnosząc z sobą coś z miejskiego ruchu, oraz świeżych facecyj i dowcipów zapasy. Tu przeto miał exkamerdyner przynajmniej z kim porozmawiać, przed kim podnosić swe socjalne stanowisko i sławić łaskawy los, co niby za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej, przemienił go w najprawdziwszego dżentelmana.

Jakoż zamiast okalać pieszo część zatoki i przebywać piaszczystą dróżynę, wijącą się po międzymorzu, śpieszył na czólnie do swej przystani.

Wpadł do traktjerni z rozjaśnionem obliczem; wśród wyziewów piwa i wódek było mu jakoś raźniej na sercu.

— Co nowego, mis Jones? — odezwał się do strojnej szynkarki.

— Kilka osób zapowiedziało swe przybycie na Zielone Świątki — odrzekła, wycierając szklanki i wi-

ając go przyjaznem skinieniem głowy. — Widzę, że nie przyniósł mi pan obiecanego bukietu róż.

— Tam do diabła, zapomniałem — tłumaczył się, bo z obawy przed argusowemi oczyma żony nie ośmielił się zerwać kwiatów.

— Mr. Hopkins! Jak się mamy? — zawołał w tej chwili gospodarz, wchodząc do obszernej i schludnej izby.

Przywitali się silnym uściskiem dłoni, poczem bez wstępu pan Hopkins poczęstował go likierem.

— Mam wesołego gościa w jadalni. Może przejdziemy? — rzekł hotelista, który „wesołymi“ nazywał ludzi pozostawiających więcej nad szylingą w jego kasie.

W towarzystwie pana Middleton, jego żony, dość ładnej kobiety, acz z twarzą od trunku nabrząkłą, oraz aptekarza z Poole, zasiadł John ponownie do herbaty i koniaku. Przy gawędzie czas mu schodził szparko, lecz miał on lęk na sercu, aby nie doszło do uszu piekarza z Poole, przywożącego codziennie do Parkstone prócz świeżego chleba, najświeższe lokalnego znaczenia wiadomości, iż Hopkins Esquire z willi Sans-souci pił wódkę z aptekarzem w nadmorskiej gospodzie.

Gdy wybiło wpół do siódmej, zabierał się do wyjścia, to jest zgryzł kilka ziarenek palonej kawy dla usunięcia z ust kompromitującego zapachu koniaku. Lecz nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich lokaj w długim palcie, w cylindrze z rozetką i wygłosił z urzędową miną:

— Mrs. Hopkins życzy sobie, aby wielmożny pan wsiadł z nią do powozu.

Wielce strapiony, John pożegnał się pośpiesznie i wyszedł jak zmyty.

Gdy powóz ruszył, prując cicho głęboki piasek dróżyny, pani Hopkins odchrząkawszy, zaczęła:

— Co się znaczy, John, owo przesiadywanie w ordynarnej knajpie?!... Słyszałam, że przybywa do niej młoda kelnerka z Londynu. Nie ręczyłabym za to, czy to ona nie stanowi magnesu, który przyciąga cię do tego szynku. Tego tylko brakuje, abys mi się wdał w romanse z jaką zapowietrzoną pannicą!

Żrenice jej przeszły go aż do wnętrzości. Przypuszczenie troskliwej małżonki nie miało żadnej realnej podstawy! jedynie pragnienie towarzystwa przywodziło go do „Przystani”. Zanim zdobył się na wyjaśnienie, pani Hopkins ubiła sprawę wymowną uwagą:

— Nie powinienes zapominać o swem stanowisku.

Na to nie było repliki. Wistocie nie godziło się przebywać w gospodzie z aptekarzem. Wejść na kilka minut, pogawędzić łaskawie z kelnerką — to przystoi dżentelmanowi.

Przyznawał żonie słusność, lecz przed rozbudzonym jego duchem zarysował się obraz państwa Middleton i wyobraził sobie, jakie to on prowadziłby miłe życie, będąc właścicielem takiego hoteliku, przy boku młodej niewiasty, chociażby z licami od koniaku zarumienionemi. I rozłożony na poduszkach *brougham'u*, westchnął ciężko, długo i żałośnie.

A lokaj, siedzący sztywnie na kozle, mruzczał coś nieznacznie do stangreta i uśmiechał się z politowaniem, jakby myśląc sobie: „biedne Dżonisko!...”

III.

Nakrywano do śniadania. Tymczasem mr. Hopkins w jasno popielatym, flanelowym ubiorze i żółtych trzewikach stał z rękoma w kieszeniach przed otwartem oknem jadalni i, przyglądając się parze czyżków, biegających wesoło po gałęzi kasztanu, oczekiwał przybycia pań.

Prócz jego żony, miała zasiąść do stołu jej córka, miss Evelyn, która po czterech latach pobytu za granicą zjechała na sezon londyński. Odwiedziwszy siostrę w Szkocji, wypadało jej pokłonić się także matce, chociaż podróż do Parkstone nie uśmiechała jej się bynajmniej. Bo niestosowny związek pani Aylesbury z kamerdynerem rozluźnił jeszcze więcej węzły rodzinne. Wiadomość o powtórnem małżeństwie matki przyjęły dzieci pułkownika z ubolewaniem, lecz ograniczyły się na listach pełnych wymówek i zaklęć, w gruncie rzeczy nie oczekując, aby cokolwiek mogło odwieść arbitralną damę od matrymonialnych zamiarów. „*There is no fool like an old fool*” — mówiły sobie córki w cichości i odtąd, jeśli wspominały o niej, nazywały panią Hopkins „matką”, nie chcąc wymieniać wstrętnego nazwiska.

Zawitawszy do willi Sans-souci późno z wieczora, panna Ewelina udała się niezwłocznie na spoczynek, jakby zwlekając ze spotkaniem z ex-kamerdynerem. I nie śpieszyła się na śniadanie.

Gdy służąca wyszła z pokoju jadalnego i John pozostał sam, podszedł do stołu, przystrojonego różowemi kwiatami i zielenią, lustrując krytycznie nakrycie. Uderzyło go, że srebrny nóż do ryb nie leżał na właściwem miejscu, a jedna z serwet była niedbale zwinięta w rurkę. Zaczął się przeto krzątać wkoło stołu.

Na to weszła młoda, dobrego wzrostu osoba w białym, flanelowym kostjumie i trzewikach z płótna żaglowego, żywa w ruchach, wysmukła szatynka o czystej, różowej płci, delikatnych ustach i ciemnych, badawczych oczach swej matki, które zmierzyły pana Hopkins od stóp do głów. A gdy spostrzegła, że zwija serwetę, cierpki uśmiech wykrzywił jej wargi.

Zdybany na gorącym uczynku, John zmieszał się i pokraśniał.

— Przypuszczam... mister... Hop... kins — wycedziła oschłym tonem panna Ewelina, niby zapominając, że widziała go przed śmiercią ojca w liberji, i wyciągnęła jak najdalej od siebie rękę na powitanie.

On skłonił się sztywnie, z godnością kamerdynera.

— Ciepły ranek — bąknął, na co zamiast zdawkowego „yes” odebrał zbywającą odpowiedź:

— Nie byłam jeszcze na dworze.

— Zapewne przyjechała pani do Anglii na wyścigi?

— Bynajmniej — rzuciła lakonicznie, lubo zamówienie pana Hopkins do sportu mogło zrehabilitować go poniekąd w jej oczach.

Podjęła czasopismo i nie przestała oglądać ilustracji, dopóki nie pojawiła się pani domu. Podczas śniadania zaś nie zaczęła go ani razu, a gdy poprosiła go o podanie soli, jej przeciągłe, pogardą brzmiące „Mister... Hop... kins” zgało niby żądło osy.

— Mógłbyś pojechać *dog-cart*'em po ojca Muphry i przywieźć go do nas — rzekła pani Hopkins. — Dzień tak ładny, iż urządzimy *picnic* w lesie nad morzem.

Naturalnie John nie ociągał się ze spełnieniem życzenia równającego się rozkazowi, czując się u siebie tak zbytecznym, jak piąte koło u wozu.

Po śniadaniu panna Ewelina musiała towarzyszyć matce do sadu i zwiedzać wszystkie psie budy, rozstawione rzędami pomiędzy nieurodzajnymi drzewami czereśniowemi i otaczające kręgami rosochaty kasztan. Na końcu przeglądu tak była przesyconą widokiem psów, że odwracała się z podwójnym wstrętem od dychawicznego mopsa, który włókł się za nimi ze zwieszonym łbem, prawie pełzał pod ciężarem tłuszczu.

Potem matka z córką siadły w trzcinowych fotelach na balkonie.

— Czy mama nie nudzi się cały rok w tej martwej miejscowości?

— Bynajmniej, mam dużo zajęcia: rachunki, psy, ochronki, bazary, stajnia, ogród, John...

— Ale jak mama mogła połączyć się z... tym człowiekiem? — wyszeptwała nieśmiało panna Ewelina.

— Nie wtrącaj do tego swego żółtego dzioba. Gdy będziesz miała lat pięćdziesiąt, a Bóg nie poskapi ci zdrowia i rozsądku, inaczej będziesz rezonowała. Miej się na baczności, byś nie zrobiła większego odemnie „głupstwa!” — odcięła się pani Hopkins i po chwili dodała z przekonaniem: — Mężczyzna, to mężczyzna, *my child*. Ty o tem nic nie wiesz. Głupia jesteś!

Na tem urwała się rozmowa o tym przedmiocie. Pani Hopkins wkrótce oddała się, by wydać rozporządzenia co do pikniku, a panna Ewelina siadła do fortepianu. I tak zastał ją John z ojcem Muphrym.

Z południa niedobre grono roztasowało się, na małej polance, położonej wysoko na nadmorskiem urwisku, wpośród potężnych sosen, podszytych gęsto paprocią i rododendronami w pełnym rozkwicie. Przez wręb widniał z boku głęboki wąwóz, łożysko wrzosu, jałowca, anemonów, sasanek i kosatek, przecięte nikłym strumykiem, który ściekał bez szmeru po żółtych kamykach i tonął marnie w piaskach, o krok od pienistych fal morskich. Słodka woń sosen rozptywała się w powietrzu, wytwarzając atmosferę duszącą i zgęstniałą, bo do tej kryjówki, niby koszyk opasanej zieloną i kwiecistą plecionką, nie zakradł się prawie wcale powiew wiatru od morza, co błękitniało u stóp urwiska, szumiąc żałośnie.

Panna Ewelina, zrzuciwszy z głowy słomkowy kapelusz, wyciągnęła się jak długa na futrzanym kocu, z rękoma pod głową, i rozmawiała z jezuitą, który spozierał w jej twarz ciekawie, gdy tymczasem pa-

ni Hopkins wyjmowała z koszyków prowianty z pomocą lokaja.

— Podaj obrus, Edward! — zwrócił się pan Hopkins do służącego, chcąc przyłożyć rękę do urządzenia pikniku. Lecz żona szepnęła do niego opryskliwie:

— Nie mieszaj się do tego, John!

Odsunięty od towarzystwa, usiadł pod drzewem, czyścił fajeczkę i głaskał popielatego duńskiego ogara, co łeb czarno nakrapiany ułożył na jego kolanie. Potem przyglądał się sukni i trzewikom panny Eweliny, przypominając sobie, że kiedyś przechodził przez tę polankę z czarnobrewą Bessie, aż wzrok jego, nie sięgający daleko, spoczął na cichym, bezsilnym strumyku....

Aby wtrącić się do rozmowy, ozwał się w stosownej chwili do jezuity:

— Czy zauważył ojciec, jak panna Ewelina świetnie gra na fortepianie, jak zgrabnie przekłada jedną rękę przez drugą?

Młoda panna parsknęła bezlitośnie śmiechem, a on mniemał, że może uda mu się zgrabnym komplementem zaskarbić jej łaski. Niemniej pani Hopkins wydało się śmiesznem, iż poczciwy John uważa przekładanie rąk za najwyższą sztukę w grze fortepianowej. Jedynie blada twarz ojca Muphrego nie odzwierciadlała żadnego uczucia.

— Nie ulega wątpliwości — odrzekł spokojnym tonem — że panna Ewelina doprowadziła swą grę do wielkiej doskonałości. Wrodzony talent, wyhodowany wśród wpływów muzyki włoskiej!

Ten zwrot naprowadził rozmowę na muzykę i Włochy, ale John nie ośmielił się więcej brać w niej udziału. Zgryziony, stracił nawet apetyt i poprzestał na sucharze, serze i winie. A myśl jego powędrowała prosto do „Przystani” i pytał się, czy powróci

już do niej z wycieczki młody piwowar z Hampshire, właściciel jachtu, który zarzucił kotwicę w cieśninie. Był to człowiek rubaszny, ale dobry koleżka i... dżentelman. Na wspomnienie spędzonych z nim chwil, porwała Johna wielka ochota zajrzeć do gospody. Gdy przeto znalazł się sam na sam z żoną na uboczu, lubo wybiegi były dawniej obce jego prostej naturze, rzekł:

— Przyrzekłem przejechać się jachtem ze znajomym, wysoko postawionym dżentelmenem, który bawi w hotelu „Przystani”.

— Dobrze — odparła pani Hopkins łaskawie, patrząc na swego Johna z takim zadowoleniem, jakim przejmował ją widok tęgiego, popielatego psa duńskiego. — Gdy wyruszymy ztąd, idź! Może ten pan wiałby którego z mych psów?... Powróć na czas na obiad! — dodała, myśląc sobie, że jej córka, nie znająca się na wartości mężczyzn, nie gniewałaby się, gdyby John świecił nieobecnością przy obiedzie.

— Droga Ewelino — zwróciła się do córki — muszę uniewinnić pana Hopkins, że nie będzie nam towarzyszył z powrotem. Ma się spotkać z pewnym głośnym sportsmanem londyńskim.

Zanim John puścił się lasem ku piaszczystemu zaspom międzymorza, szepnęła mu na ucho:

— Upominam cię, abys nie flirtował z tą kelnerką!

Zaledwie pan Hopkins uszedł kilka kroków, posłyszał za sobą wołanie ojca Muphry, który zrównawszy się z nim, rzekł:

— Chcąc przejść się, pozwolę sobie odprowadzić pana na półdrogi, poczem powrócę do dam.

W toku gawędy ojciec Muphry mówił, jakby do siebie:

— Lat temu wiele przechadzałem się w podobnym, pięknym lesie, lecz ludzie zakrwawili mi serce tak, iż nie zaznałem pokoju na łonie natury. Dopiero

u ołtarza odnalazłem szczęście i odąd czerpię radość dla mej duszy ze źródła wiary, z pracy dla kościoła.

Pan Hopkins zbierał po drodze szyszki i z potrzeby ruchu ciskał je w gęstwinę rododendronów, każąc je aportować psu, na niezrozumiałe wyznanie jezuity nic nie mając do powiedzenia.

Przeszli spory kawał lasu, gdy ksiądz spytał, kiedy wyjeżdża panna Ewelina, a gdy dowiedział się, że miało to nastąpić za dwie doby, pomyślał chwilę i rzekł:

— Może pan przybędzie do mnie tego dnia na skromny obiad?

— Z przyjemnością. Szkoda, że ojciec nie ma u siebie bilardu.

— Ale zagramy w wista. Postaram się o miłego partnera.

— Jakże z owym bazarem, o którym ojciec wspominał?

— Przyjdzie do skutku wkrótce. Jednakże nie mały mam kłopot, bo koniecznie trzeba będzie przebudować i powiększyć naszą skromną świątynię Pańską. Chcieliśmy prace rozpocząć na wiosnę, bo zastęp wiernych wzrasta, a wobec kościołów anglikańskich przedstawia się ono tak ubogo! Któż przypuszczałby, iż słuchają w niej mszy świętej tak dostojne osobistości, jak lady Brassey lub żona pańska, nie wspominając o wielu dzentelmanach. Niestety, dobrodziej naszego kościoła nie rozporządzają taką fortuną, jak książę Norfolk, który prawie sam jeden funduje katedrę katolicką nad Tamizą! Pan to wielki i bogobojny! Co za boleść pomyśleć, że w domowym kółku nawiedzony takim dopuszczeniem Boskiem — westchnął i ciągnął — o ile skwapliwiej powinni czynić dobrze synowie kościoła, których Opatrzność zawiodła wysoko kwiecistą drogą?... Imiona łaskawych fundatorów będą wyrzeźbione na marmurowej płycie we-

wnętrz kościoła i we wdzięcznych sercach kongregacji.

— O!... Niechaj ojciec pomówi o tem z panią Hopkins.

— Posłucham pańskiej rady i zwrócę się do niej w tej sprawie po wyjeździe panny Eweliny, bo teraz tak zajęta swą miłą, dawno niewidzianą córką. Nie wątpię, że nam nie odmówi pomocy. Wszelako sądzę, że pan sam wymowniejszym może byłby rzecznikiem w odpowiedniej chwili.

— Well... — wycodził John powątpiewająco, lecz nabył przekonania, że musi on mieć pewien wpływ na żonę, bo ojciec Muphry dobrze wiedział, co mówił.

— Będę czuł się szczęśliwym, widząc imię Johna Hopkins Esquire wyrzeźbione obok nazwisk wysoko urodzonych naszych dobrodziejów... No, pomówimy o tem przy sposobności.

Wkrótce jezuita pożegnał go i zboczył ku Parkstone.

Słowa jego podziały jak balsam na przygnębiony umysł pana Hopkins i otworzyły przed nim nowy horyzont. Jeśli dotychczas zajmował wobec żony stanowisko podrzędne, niemal służalcze, jak to go teraz uderzyło, mogło się to zmienić. Nie miał wprawdzie wyobrażenia, jakiej należałoby się chwycić taktyki, bo on zanadto przywykł widzieć w niej swą panią i w swej prostej machinie umysłowej nie posiadał ani żdźbła dowcipu, lecz ojciec Muphry mógł mu wskazać drogę.

W miarę, jak zbliżał się do „Przystani“, rozchmurzone jego oblicze, oblane żywym blaskiem słońca, jaśniało nadzieją pozyskania znaczenia i swobody w domu, oraz spotkania „głośnego sportsmana londyńskiego“, czyli piwowara z Hampshire.

Droga ciągnęła się brzegiem zatoki, a potem wiała ślimakowato środkiem międzymorza na falistym te-

renie białych, ruchomych piasków, które w pobliżu zajezdnego domu piętrzyły się w dość wysokie wały. Pod bokiem jednego z tychże zieleniła się mała kotlina, niby oaza na pustyni, i tutaj ujrzał pan Hopkins dwukołowy wózek, odprężonego kucyka skąbiącego trawę, dalej piastunkę z niemowlęciem i dostatnio ubraną kobietę, przyrządzającą herbatę na maszynie w cieniu samotnego drzewa.

Minawszy tę grupę, składającą się na wdzięczny, barwny obrazek, John przedostał się przez zasypany brzeg morski, aby skrócić sobie drogę do gospody, zwracającej czoło ku rozmarzonym w ciepłe słonecznym wodom kanału angielskiego. Lecz gdy stanął na twardym szlaku, przykuł go do miejsca widok młodej kobiety, brunetki, w słomianym kapeluszu, w blado-niebieskim staniku muslinowym, która z podkasanymi spódniczkami powyżej kolan brodziła w chłodnej, orzeźwiającej wodzie, z głową pochyloną, może unikając ostrych kamyków, może przestrzegając, by zdradliwa fala nie obryzgała jej sukni. Jej śnieżne, pięknie utoczone nogi przecinały zwolna kryształ wód, a John, nie poruszając się, podziwiał kształtną, dość silną figurę, bujne splety włosów i zgrabne nóżki.

Nareszcie chrząst łap ogara w wirze zbudził jej czujność i odwróciła głowę, ze zdziwieniem mierząc okiem nieznanego.

Promienie ich źrenic w jedno zlały się pasmo; ale nim jeszcze spoczęły na nim te czarno oprawne, szafirowe, jakby irlandzkie oczy, John poznał w niej Bessie, swą dawną malinową Bessie, pulchną, tęgą w biuście, opromienioną urokiem młodości, z karmazynem i słodyczą na ustach, najładniejszą ze wszystkich kobiet.

Niemy, nieruchomy, patrzył w tę łagodną twarz, pełen zdumienia, zachwyty i radości, zmieszanej z głu-

chem uczuciem żalu, nie mogąc pojąć, jak się to stało, że jej nie zaślubił.

I Bessie rozpoznała w popielato ubranym dżentelmanie swego niewiernego „młodego człowieka”, lecz odwróciła się niezwłocznie, pluskając w wodzie.

On zastanowił się; strzeliła mu myśl do głowy, że nie wypada mu zbliżać się do pokojówki, wszelako parł go naprzód jakiś miły prąd z mocą żywiołu i zmierając ku niej, zaczął wołać:

— Bessie!...

Jakby nie słysząc, stąpała dalej. Dopiero gdy niezrażony zbliżył się do niej, spojrzała prosto w twarz jego, w zimmem, stalowem wejrzeniu wyrażając gniew zawiedzionego serca.

— Jak się masz, Bessie *dear*?

— Dobrze — odparła oschle — ale nie „*dear*”.

— Czyś przybyła ze swą panią do Parkstone?

— Porzuciłam to miejsce, bo siostra mnie wzięła do siebie — mówiła jakby z łaski.

— Czy to twoja siostra gotuje herbatę w kolinie?

— Tak jest.

— Także ładna kobieta. Prawda, że ona wyszła za mąż za maszynistę i mieszka w Wimborne?

Dziewczyna skinęła głową.

— Bessie *dear*, przyślę wam zaraz obwarzanek do herbaty z hotelu pod „Przystanią”, a na przyszły tydzień odwiedzę was w Wimborne i wezmę cię na spacer mym *dog-cart*em.

— Niel — szepnęła cicho, ale stanowczo, i tryumf zadowolonej próżności kobiecej odmalował się na jej licach ironicznym uśmiechem.

— Czemu nie? — spytał i czekał odpowiedzi.

— Bo jestem zaręczona — wycedziła od niechcienia.

Uderzyło go coś w piersi.

— Z kim? — pytał po chwili milczenia.

— No — odparła Bessie z przekąsem — nie możemy wszyscy wchodzić w związki z lordami i wielkimi panami, ale dyrektor cegielni jest dla mnie za prawdę dość dobrym...

John chciał coś mówić, o coś prosić, ale poplątały mu się myśli. Stał zgryziony, przybity, bezradny, dopóki Bessie nie rzuciła mu pożegnającego: „good-bye!” i nie skinęła wyniośle głową.

Oddalił się ociężałym krokiem, nie spozierając po za siebie na dziewczynę, która podtrzymując piąstkami suknię, podreptała zaraz opowiedzieć siostrze o niespodzianem spotkaniu swem z dawnym wielbicielem.

Tymczasem dżentelman kroczył gdzieś przed siebie, tocząc martwym okiem, co nic wokoło nie widziało i widzieć nie chciało. Bieliła się przed niem ponętna postać dziewczyny, czerwieniły się usta jak maki; zresztą na świecie nie było nic godnego widzenia. I nerw, co zadrgał w nim żywo, rozbudził uśpioną falę życia, ukołysał się do snu, pozostawiając piers pustą, machinę-człowieka.

IV.

W cieniu ponurej, od morskich wyziewów zszarżanej ściany hotelu „Przystani” rozgościł się przy stole piwowar, nazwiskiem Barker, i mr. Middleton w towarzystwie mnogich, próżnych butelek piwa i flakonu z wódką. Młody, przystojny żeglarz, z rozpiętą kamizelką, wsparłszy się łokciami na ceracie, prawił coś hoteliście, który w odpowiedzi bełkotał językiem, z rumieńcami na bladej twarzy, z błędnym wzrokiem, raz po raz muskając dłońią swe blond włosy.

Obadwaj powitali pana Hopkins radośnie. Piwowar odrazu nazwał go „przyjacielem” i zaczął mu nalewać w szklanekę whiskey.

Lubo wstrzemięźliwy z natury, John wszedłszy między wrony, musiał krakać jak one. Zresztą w takim był usposobieniu, że byłby pił atrament, aby tylko czemś się zająć, słysząc gwar wkoło siebie i uśmierzyć toczący go ból w duszy.

Wkrótce z gospodarzem niepodobna było się dogadać, bo mocne cygaro hawańskie dobiło go do reszty. Lecz piwowar, zupełnie przytomny, ust nie zamykał, a wpływ trunku objawiał się jedynie przez pragnienie wypowiedzenia się ze spraw osobistych. Jakoż zaczął opowiadać „przyjacielowi”, jakim sposobem doszedł do fortuny, nie troszcząc się o pana Middleton, który z początku przerywał mu jękaniem, a potem wtórzył serdecznym chrapaniem.

Wysłuchawszy długiej historii, John zaciągnął piwowara do bilardowego pokoju. Chrapiącego hotelistę zaś pozostawili w rękach anioła opiekuńczego, który zjawił się w postaci jego godnej małżonki z czerwonym nosem i ze szlachetnym wysiłkiem zawiódł go na nocne leże.

— Chciałbym zwiedzić pańską willę, mr. Hopkins — rzekł mr. Barker w toku gry. Podobno dominuje nad całą okolicą.

— W najlepszym położonym miejscu — bąknął John, wyciągnięty na dużym bilardzie, domyślając się dokąd zmierza mr. Barker.

— Chętnie ugościłbym pana u siebie, lecz tak się fatalnie złożyło, że mamy w domu niekoniecznie przyjemnego gościa.

— Mniejsza o to, nie wpraszam się — rzekł urażony i niekontent mr. Barker.

— Ale może jutro zrana wstąpi pan obejrzeć naszą psiarnię, a wieczorem stawi się na obiad do ho-

telu pod „Trzema gwiazdami“ w Poole? — zaproponował John, zebrawszy się na odwagę.

— *Well*, niech i tak będzie! — odparł wsparty na bilardowym kiju piwowar. — Gdy przybędzie pan do Hampshire, jako dżentelman, odwdzięczę się panu obiadem u siebie.

John połknął pigułkę. Podczas gdy mr. Barker mozolił się nad wpędzeniem bilardowej kuli do siatki, zatopił się w myślach i po chwili zagadnął:

— Co pan rozumie przez określenie dżentelman? Zakłopotany pytaniem, jakiego nikt mu dotąd nie stawiał, mr. Barker drapał się po czuprynie, aż wreszcie wygłosił z miną, obwieszającą, że łami główkę szczęśliwie rozwiązał:

— Dżentelman jest każdy rzeczywisty, czy pozorny mężczyzna, mający kilka szylingów w kieszeni i noszący cylinder. Ale prawdziwym dżentelmanem... na to wiele więcej potrzeba. Stanowisko, ani ukształcenie samo nie wystarcza. Prawdziwym dżentelmanem trzeba się urodzić, albo przynajmniej umieć wmówić w ludzi, że się nim jest rzeczywiście.

Głęboki cień padł na lica pana Hopkins. Według tej definicji był on dawniej po za służbą tak dobrze dżentelmanem, jak każdy inny, a w prawdziwego dżentelmana nie mógł przeobrazić się nigdy. Nie potrafił on nawet przystroić się w pozory. I nad tem zabrała srode.

W ciągu gry weszło do izby trzech mężczyzn, z cygarami w ustach i szklankami piwa w rękach. Zająwszy siedzenie na czarnej kanapie pod ścianą, śledzili przebieg gry. Jeden z nich, w dość długim granatowym surducie, z żółtymi cholewami opinającymi u dołu spodnie, widocznie masztalerz, cisnął na wstępie panu Hopkins wyzywające spojrzenie, a rozsiadłszy się, nie przestawał zerkać na niego z ukosa.

Gdy gracz zdał się go nie zauważyć, odchrząknął raz i drugi i zawołał doniośle: — John!

Mr. Hopkins, odwrócony tyłem do groom'a, wdał się w rozmowę ze swym partnerem, jakby nic nie słyszał i do znajomości się nie przyznawał.

— John! — powtórzył tenże hardo, gdy głosy przycichły. — Nie znasz mnie to? Pamięć cię zawodzi. Już nie pamiętasz, jak to grywalimy w *nepa* w stajni lorda Wimborne?!...

John poczerwieniał jak burak, przygryzł wargę i fala wściekłości uderzyła mu do głowy. Widywał on go często w Parkstone, gdzie niezawodnie Harry był teraz w obowiązkach, ale naturalnie unikał i nie poznawał. W pierwszej chwili byłby najchętniej pochwycił go za gardło i cisnął o mur, jak szczeniaka, lecz opanował się i patrząc osłupiałym wzrokiem na stół bilardowy, milczał. Jedyne ciężki, przyspieszony jego oddech było słychać w izbie, niby miech kowalski.

— A to sławnie pan zagrał! — zwrócił się do partnera, który po krótkiej przerwie podjął grę na nowo.

Ze źrenic masztalerza tryskały błyskawice głębokiej zawiści, na twarzy jego paliły się ognie i gdy cisza zapanowała, ozwał się do swego towarzysza i sąsiada:

— Nie żeń się z wielką damą, bo ogłuchniesz na oba uszy, jak mój przyjaciel John Hopkins, co niedługo pożyczął odemnie po kilka szylingów...

Jakby w pokoju robiło się za gorąco, John odechnął całą pierś. Podniósł oczy na zaczepiającego i przesywając go dumnym spojrzeniem, wykrztusił urywanym głosem:

— Harry, mówię ci po raz pierwszy i ostatni, zamknij gębę i wynoś swe kości co tchu... błaznie!

Groom zaśmiał się zcicha.

— Jeśli masz ochotę spróbować się na kufaki, to chodź przed dom. Zobaczymy, kto błazen.

To rzekłszy, zabrał się zaraz do zdejmowania surduta, ale John powstrzymał go, cedząc dobitnie:

— Nie zrzucaj surduta, bo jak cię ztąd wyrzucę, to żona twoja musiałaby go tu szukać. Dżentelman nie bije się z groom'em.

Na dźwięk podniesionych głosów ogar, śpiący w kącie, uniósł łeb i rozglądał się po izbie, niby pytając, co się święci, tak zaciekawiony sceną, jak pan Barker, który siadł na kanapie w oczekiwaniu walnej batalji.

Tymczasem stajenny zachichotał znów i zapinając surdut, zaczął krzykliwie:

— Dżentelman! *Pah!* Co to mi za wielki pan, którego ojciec owce pasał w Hampshire! Biedaczysko, nie mające ani złamanego własnego szeląga w kieszeni i tchórz...

— Milcz — ryknął John i rzucił się gwałtownie ku niemu, ale masztalerz skoczył zwinnie w bok i przystanął z przeciwnej strony bilardu.

Przez moment stali tak, kipiąc szalonym gniewem, przedzieleni dużym bilardem, niby dwa dzikie zwierzęta, gotujące się do skoku. I w izbie zadymionej i gorącej tylko brzęczenie owadów przerywało ciszę.

Po namyśle ex-kamerdyner, nie chcąc kusić się o pochwylenie napastnika w pędzie, zajął stanowisko przy drzwiach, by zapanować nad wyjściem. Groom wykonał ruch odpowiedni tak, iż znów dzielił ich bilard i pewny siebie, naigrawał się:

— Dżentelmanowi żona nie wydziela koprowiny na piwo i tabakę! Niezadługo przywiążą cię na łańcuchu do psiej budy, byś jeszcze lepiej pilnował bab-skich spódnic. Przedtem byłeś panem kamerdynerem, ale spadłeś na płatną z łaski szlafmycę tej pani. Dżentelman, cha! cha!

Sciskając kurczowo krawędź bilardu, John z krwią nabiegłemi oczyma, ważył w myśli szanse. Skoczyć na bilard i przytrzymać go za czuprynę? Ale Harry czmychnąłby pod stół i dopadł do drzwi. Miał go na odległość jednego i pół ramienia, lecz jak dostać go w swe ręce?

Wtem ogar podniósł się, wyciągnął łeb, jakby węsząc, poruszył się i warknął, zcicha, złowrogo.

Na to masztalerz pobladł. Szalę zwycięstwa pies przeważał stanowczo na stronę Johna, wszelako ex-kamerdyner przeląkł się sprzymierzeńca, co mógł pokasać i zadusić na śmierć stajennego.

Podniosły się też głosy:

— Wypędzić psa!... *It isn't fair...*

— Do nogi, Dżek — zawołał John na ogara, a gdy tenże, ociągając, zbliżył się, poklepał go po łbie i szybko wypchnął za drzwi.

Ochłonawszy ze strachu, masztalerz szukał świeżych przytyków.

— No, jakże dżentelman John! — cisnął mu, odczuwając jego bezradność.—Czekam dość długo, dość tej zabawy! Dzięki Bogu, rozpoznałeś mnie nareszcie, teraz poznasz mnie lepiej! Ty jedynie do starych bab masz szczęście! Pamiętasz tę francuską służącą w Wimborne, tę bez zębów? No, John, tyś istotnie wielki pan, chociaż psy twej damy na ciebie...

Tu pod wpływem strasznej furji podniosła się ręka Johna, w której dotąd trzymał kij bilardowy i bezradny cisnął go w twarz groom'a. Zaskoczony znieacka, masztalerz cofnął się, uderzony, odwrócił się bokiem do bilardu, a gdy kij padł pod ścianę, schylił się po broń. Lecz John chwilę tę wyzyskał. W skok rzucił się za nim i u drzwi przytrzymał. I potężna pięść gruchnęła w ucho masztalerza.

Zaszamotali się, aż spręty w izbie zadygotały, odpowiadając echem. Jedno i drugie ramię zapaśnika

migało w powietrzu, potem bilard zaskrzypiał i poruszył się, przygnieciony bokiem masztalera, rzuconego z odmachem.

I dłoń Johna spoczęła na karku przeciwnika, który zaparł się rękoma i nogami o bilard. Nastąpiła pauza i ciche mocowanie się, wreszcie John, sapiąc, jednym kopnięciem kolana podważył go i wysadził z pozycji. Jeszcze chwila, potem groom wyleciał z pokoju jak z procy, a drzwi zatrzaśnięte zatrzęsły się w zawiasach, jękły i tynk opadał z muru z szelestem.

Na tem skończyła się bójka. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na skomlenie i drapanie ogara do drzwi, który teraz rzucił się na powalonego w kurytarzu groom'a i zaczął wściekle szarpać go kłami.

Towarzysze zwyciężonego, John sam i piwowar skoczyli na ratunek, ale gdy wydobyto masztalera z pod pazurów ogara, leżał w pół nieżywy, omdlały, we krwi zboczony, okropnie pokąsany, z żebrem złamanem w zapasach, z odzieniem w szmaty zdartem—straszny obraz.

Bądź co bądź, rany, jakie odniósł, zapowiadały akcję sądową.

O epilog tej sprawy pan Hopkins się nie kłopotał. Nie litował się też nad masztalerzem, ani nie wyrzucał sobie, iż wdał się w bójkę, bo zapasy i pomsta przyniosły mu ulgę.

Wieczór spędził w „Przystani“, nie chcąc ze swem podbitem okiem ukazać się przy stole w Parkstone. Jak przywitałaby go żona i owa miluchna panna Ewelina?

Wracając do domu o księżycu, jeszcze ociągał się z powrotem, lękając się nieodzownego śledztwa ze strony pani Hopkins. Jakoż spoczął na wrzosowisku, w pobliżu miejsca, gdzie spotkał Bessie, znękaną i posepną.

Wydało mu się teraz, że niedość pomścił się za zniewagę, niedość wywarł swój gniew i gorycz, co w ciągu dnia i długich miesięcy nagromadziła się w jego sercu kropla po kropli. Aby ją całą wyrzucić z duszy, musiałby bodaj wojować z całym światem, katować i zabijać.

Lekceważące obejście się z nim panny Eweliny, odpychające słowa żony, spotkanie z nadobną Bessie, jej odwet, pogląd pana Barkera, bezczelność masztalera, który bryzgnął mu w twarz słowa gorzkie jak piołun, słowa prawdy — wszystko to stargało i rozstroiło struny jego cichej duszy. Pił dużo tego wieczora, ale wódka, miasto wygładzić jej wzburzoną powierzchnię, wydobyła na jaw ukryte bolączki, spoczywające w głębi duszy, zaledwie na w pół zrealizowane, niejasne. Teraz powylażyły one, niby szczury z nor, i gryzły go.

Opadł mu z przed oczu welon iluzji, a marzenia o stanowisku i swej wielkości, serdecznie i długo hodowane, gdzieś się rozwiały. I jak bezdomny włóczęga, siedział na pustkowiu bez otuchy, bez celu, bez jutra.

Na wodach zatoki migotały blaski latarni na pałach, wiodące do cichej przystani, ale nie tędy prowadziła go droga, bo na szarym szlaku jego życia nie świeciły się światła.

Ze wzgórza w Parkstone mrugała gwiazdka od strony willi, ale nie ku niemu, bo on tam był zbyt cichym. Lepiej na odludnych wydmach, zdala od owego domowego ogniska! Bo czyliż ciągnęła go do siebie ta gderliwa, kapryśna, zwiędła, stara kobieta? Niechaj grymasi, że nie stawił się na wieczór! „Niechaj się powiesi razem z tą słodziuchną córeczką!”

Ale przecież był on tam panem. Tak, zaiste pa-

nem, nad którym lituje się służba, a którym żona, niby wiechciem pomiata. Ha, ten łajdak Harry mówił prawdę! Służącym był do psów doglądania i wygrzewania nóg swej pani! Gorzej niż służącym, bo dozgonnym skrępowany węzłem, osadzony w kleszczach ceremonji, na domiar ograniczany, pilnowany, odcięty od ludzi — istny niewolnik.

Po za domem zaś był zerem. Ludzie z „towarzystwa” nie znali go i oglądać nie chcieli, a warstwa niższa odwracała się od niego z szyderstwem na ustach, w płytkiej zazdrości rzucając mu w twarz obelgi. I on sam wyodrębnił się trochę, odsunął się od współstwa, nie zbliżywszy się rzeczywiście do koła, w które los pchnął go złośliwy. Osamotniony, zawisł gdzieś pomiędzy obu biegunami. Gdyby kiedy była mu przyszła chętka zbratać się znów ze służbą, byłiby mu oni na każdym kroku nogę podstawiali, lub odtrącali od siebie, jak wyrzutka. Nawet Bessie poszła na zawsze bez łaskawego wejrzenia, bez dobrego słowa, co rany goi.

Cóż zatem zyskał na tem świetnem małżeństwie. Był on rzeczywiście dżentelmanem, czy nie?

Machnął ręką i patrzył na morze, na księżyc, płynący wśród gwiazd i drogi mlecznej na lazurowych wyżynach, patrzył na cienie, pełzające po piaskach niby duchy lekkie, na wstęgę księżycowego blasku, rzuconą na fale i na swego ogara, który, leżąc przy jego boku, lizał mu niekiedy rękę ogromnym ozorem.

I czuł, że wszystko prócz tego psa wiernego, było mu na świecie dziwnie obojętnem.

Potem szedł ku domowi, bo gdzież miał pójść i co robić? Zapomniał nosić liberję, a nie nauczył się wdziawać jej innym na grzbiety. Lecz idąc w jarzmo,

głuchy ból czuł w piersi i w tej niemocy, rozgoryczeniu, w tym ducha upadku wyrzekł do siebie słowa, jakie nigdy przez usta jego nie przeszły:

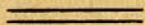
— Niech djabli wezmą to przekłete dżentelmeństwo!...

Po kilku tygodniach, gdy masztalerz powstał z łóżka, John odebrał list od adwokata, który w imieniu masztalerza żądał wysokiego odszkodowania za rany odniesione w bójce i od klów ogara. Pani Hopkins pretensje masztalerza zaspokoiła, ale wieść o sprawie tej przechodziła z ust do ust, z jednej miejscowej gazety do drugiej, aż kto żyw wiedział, że „Mr. Hopkins, podrażniony uwagą dawnego kolegi, masztalerza, co wzbraniał się uznać w nim dżentelmana, z pomocą swego potężnego ogara tak srodze go poturbował, iż stajenny o mało nie przypłacił tego życiem”.

Ogar odgrywał we wszystkich wersjach takich, co w promieniu mil dziesięciu kursowały, podtrzymywane przez szynkarzy i stare panny, tak wielką rolę, iż nawet dzielna pięść Johna nie wzbudziła podziwu. Zajęcie się potyczką takie przybrało rozmiary, że wielu obywateli okolicznych odbywało pielgrzymki lub wyprawy morskie do hotelu „Przystani”, aby jak najściślejsze i najdokładniejsze zebrać informacje na miejscu. Opowiadanie zaś nieobecnego przy bójce pana Middleton komentowano różnie, zawsze jednak w duchu dla Johna nieprzychylnym.

Bo sympatja opinji publicznej, jakiej głos tak żywo brzmiał w uszach pana Hopkins'a, przechyliła się na stronę masztalerza. A Johna wytykano palcem jako perwenjusza zadzierającego głowę i pijacznym nie wychodzącego z bar'u „Przystani”, jako ex - ka-

merdynera nie umiejącego zastosować się do swego położenia socjalnego i niegodziwca kompromitującego czcigodną, z pięknego rodu małżonkę, jako brutalnego zawadżkę, szczującego bliźnich ogarami. I przyczepił się doń uszczypliwy przydomek, który zaryglował przed nim wszystkie i tak dotąd zamknięte domy i szedł za nim wiernie, jak brytan, po ścieżce żywota: „gentelman John!” — wielmożny pan... lokaj!



IRONJA ŻYCIA

Let come what will; there is one thing worth
To have had fair love in the life upon earth,
To have had love safe till the day drew night,
While skies had colours and lips were red.

Algernon Swinburne.

I.

Któż tam bębni na fortepianie?

Pióro wypadło z rąk autorki, gdy fala brawurowych tonów zabrzmiała z przeciwka. Czoło jej sfałdowało się, pociągła twarz namarszczyła się surowym wyrazem.

Gdzież miała zakopać się przed odgłosami świata, zanurzonego w uciechach zmysłowych? Jako sekretarka klubu kobiet postępowych, miss Florence Williams była przykutą do Londynu, ale osiadłszy zdala od ulicznego zgiełku, w jednym z tych nieodgadnionych zakątków, gdzie gnieźdzą się ciche, wieczorem opuszczone pracownie malarskie, spodziewała się być sam na sam z sobą. I nigdy dotąd gra fortepianowa nie przerywała jej pracy nad artykułami i pamfletami, za pomocą których rozprzestrzeniała swe poglądy na kwestję kobiecą. Dopiero tego wieczora zakradły się do jej przybytku tony muzyki, jakby chcąc zakłócić wieczorną ciszę, stargać wątek my-

śli i ściągnąć ją gwałtem z ideologicznej wyżyny w prochy elementarnego istnienia.

Zirytowana miss Williams sądziła, że powinny istnieć przepisy policyjne, wzbraniające hałaśliwych wybryków w tem artystycznym zaciszu i postanowiła poskarżyć się przed gospodarzem na nowego lokatora. Ileż bowiem wzniosłych myśli mogły rozpędzić bezmyślne płody ulotnej muzy, czyniąc ogół, może ludzkość całą, uboższą? A czyż i w tym wypadku brutalna siła miała obrócić wniwecz szlachetne zamiary kobiety?

Ucichły akordy, lecz ozwał się się donośny głos barytonowy, niosący jej wstępne słowa serendy:

„Adieu, Suzon, ma rose blonde
Qui m'a aimé pendant huit jours...”

Och, to już nie do zniesienia! Panna Florentyna zapuściła z łoskotem szybę okna i zaczęła przechadzać się tam i napowrót po bibliotece, wyłożonej ciemnym kobiercem.

Półki książek, które ściany były szczelnie wysłane, nadawały gabinetowi cechę urzędową, a oko zatrzymywało się jedynie na dużej podobiznie Johna Stuarta Mill'a, wiszącej nad biurkiem. Krąg światła niskiej, zielonym kloszem przysłoniętej lampy, nie sięgał wyrazistej twarzy sławnego socjologa, lecz rozkładał się po drukach i papierach, pokrywających biurko, oraz po części obicia, oczekującego portretu samej panny Williams, gorącej wielbicielki autora: „Ujarzmienia kobiet” i „Wyzwolenia”. Opodal dużego okna kilka krzeseł i foteli okalało japoński stolik bambusowy. Zresztą mroczna przestrzeń biblioteki była wolną.

Z tym przybytkiem wiedzy postać panny Florentyny nie harmonizowała; zdało się bowiem, że na-

wał książ przygniecie i zmiądzdy jej lekko narysowaną, wątlą i drobną figurę, w której regularnych ruchach było coś nawskroś kobiecego. Atoli oblicze jej, zmrażające bijącym zeń chłodem, zadawało kłam temu; zaciśnięte usta świadczyły o zaciętości, wysokie czoło o dumie i myślącym zakroju ducha, a na rysach spoczywał ton, podsuwający przypuszczenie, że jej duchowa lutnia nastrojona była na poważną nutę.

Lubo nie miała lat czterdziestu, śnieg przyprószył już jej włosy, splecione w bezpretensjonalny węzeł, wszelako srebrne nici łagodziły surowy wygląd zwiędłych lic. W półcieniu biblioteki panna Florentyna wydawała się sylfem, wynurzonym z tajemniczego pomroku.

Po chwili, usiadłszy znów przed stołem papierów, pochyliła głowę i, aby uwolnić się od muzyki i zebrać rozpieczęte myśli, odczytywała głośno skreślony świeżo ustęp swego essay'u:

„Zamiast na wzór zgnusiałych umysłowo kobiet W. Brytanji zdawać ustawodawstwo, dotyczące spraw kobiecych na łaskę albo raczej niełaskę posłów-mężczyzn, obywatelki Nowej Zelandji nietylko zdobyły sobie mandaty poselskie, ale wytrwale dążą do zniwelowania przywilejów, przysługujących płci męskiej we wszystkich gałęziach życia społecznego. Jak donoszą świeżo gazety, wystąpiły one z wnioskiem, aby żonie przysługiwało prawo rozporządzania samowolnie połową dochodu i majątku męzowskiego. W osobnej rozprawie postaram się wykazać, jak ważnym krekiem naprzód byłoby wprowadzenie w życie takiej ustawy na drodze do ekonomicznego równouprawnienia kobiet, wyzwalając je z pod materialnej zależności od mężów, oraz stanowiąc hamulec rozpasanemu egoizmowi tychże. Lecz wniosek ten sięga dalej.

„Ujawnia on dążność obywaterek do postawienia instytucji małżeńskiej na pozytywnej podwalinie, to jest zamienienia małżeństwa na ściśle i jasno sformułowaną spółkę, istniejącą w celu swobodnego zapokojenia popędów macierzyńskich i zachowania rasy. Dotychczas w tej spółce mężczyzna był dominującym współnikiem, a nawet samowładcą. Prawo rozwodowe i inne zostały zredagowane w duchu partyjnym, przez mężczyzn na korzyść mężczyzn. I nie rozciągnięto prawodawstwa tak daleko, jak domagają się tego obywatelki Nowej Zelandji, z obawy, aby nie uszczknąć znów gałązki przywilejów, mężczyznom przysługujących. Jak dawniej, usiłowano obalić racjonalne żądania czczem słowem: miłość.

„Prawodawstwo tymczasem nie może żadną miarą liczyć się z tak elastycznym pojęciem, a w dzisiejszych czasach, w których poczucie osobistych interesów i rozsądek są busolą życiową, miłość, „materja natury przez wyobraźnię upstrzona świecidełkami”, nie jest w stanie regulować spraw małżeńskich. Zresztą obserwacja życiowa poucza nas o tem, że ów popęd, przez poetów w idealne gazy odziany, poszedłszy w niewolę zdrowego rozsądku, przestał odgrywać rolę przy kojarzeniu związków i w pożyciu małżeńskim. Stwierdza to wiele głosów śmiałych, do wyświetlenia prawdy dążących pisarzy. Już w zamierzchłych wiekach średnich, w roku 1174, kapelan króla francuskiego orzekł „stabilito tenore” przed sądem „miłości” hrabiny Szampanji, iż „miłość pomiędzy mężem i żoną jest niemożliwą”.

„Wszelako, z chwilą, gdy dwa osobniki wchodzą w ściślejszy stosunek, następuje walka odnośnych indywidualności, która prowadzi albo do kompromisu, albo do rozterki. Chodzi zatem o to, aby kobieta jak najlepiej była przygotowaną do tej walki i naczelnie zajęła stanowisko. Już utrzymuję, że rozwijanie

uczuciowości w kobiecie jest szkodliwem dla jej interesów osobistych i płci żeńskiej w ogólności, innemi słowy, że miłość żony do męża jest niepożądana.

„Wiadomo bowiem, że przewaga pierwiastku uczuciowego nad rozumowym jest dowodem słabości i niskiego rozwoju cywilizacyjnego, zaniku lub braku indywidualności. Niestety, istnieją jeszcze w naszym kraju zacofane matki, które schlebając mężkiemu egotyzmowi, wpajają w córki przekonanie, że miłość powinna splateć ręce małżonków, że jest ona jedyną ścieżką do kariery, a słabość siłą i bronią ich, źródłem zadowolenia i szczęścia. Tym sposobem utrzymują niewiastę poniżej społeczeństwa. A tymczasem miłość, jeżeli nie jest czczem słowem, okazuje się nieodzownie źródłem niepokoju i rozterek duchowych, obniża intelektualną wartość człowieka, prowadzi do zaniku godności i do upodlenia, kryje w sobie zarodek nieszczęść. Odarta z poetyckich przysłówek, staje przed nami nie w szacie boskiej, lecz jako niski i zwierzęcy popęd, surowa i prymitywna materja natury, jako przeciwstawienie wszystkiego, co w człowieku jest wzniosłem. Ze strony miłości grozi płci żeńskiej wielkie niebezpieczeństwo.

„Zdobycze swe na drodze do równouprawnienia zawdzięcza ona swej niezawisłości umysłu od wpływów męskich. Odkąd bowiem zaczęła spoglądać na mężczyznę poprostu jako na człowieka, wyzwoliła się z pod jego przewagi, a na gruncie uświadomienia swego powołania w społeczeństwie rozkwitła bujnie jej indywidualność, która popchnęła ją do bogatej w owoc działalności.

„Tymczasem miłość, poddanie się pod jarzmo mężczyzny, wytrąca z jej rąk berło przewagi, wprowadza ją w letarg biernego bytu, umysłowego niedołęstwa, zabija ambicje i samoistność. Przykuta i zaślepiona do mężczyzny, kobieta staje się ofiarą jego

samolubstwa, w życiu społecznym przykłada rękę do umocnienia jego przywilejów. A zatem niewiasty powinny wystrzegać się tego uczucia, nie wychodzić za mąż za człowieka, którego wpływowi podlegają, lecz idąc za głosem rozsądku, łączyć się z mężczyzną prymitywnym i ze drowego pnia, stojącym na niższym szczeblu umysłowej kultury. Ponieważ zaś natura powierzyła kobiecie zachowanie rasy, jej to przysługuje prawo wyboru ojca swych dzieci, a nie odwrotnie.

„W tym duchu ukształtowana kobieta nie pozwoli wywodzić się w pole, poniżyć w oczach ludzkości. Wówczas instytucja małżeńska odmienną przybierze formę i nic nie stanie na przeszkodzie do ostatecznego triumfu nad zwyrodniałą płcią męską. Zważywszy zaś, iż natura udzieliła kobiecie pewne przywileje, równouprawnienie oznacza tyle, co hegemonja płci żeńskiej, powołanej do odrodzenia świata.

„Zwłaszcza w Wielkiej Brytanji, gdzie sprawa kobieca posunięta jest o wiele dalej, niż w innych krajach europejskich, gdzie samodzielnego umysłu kobiety wywalczyły sobie szereg praw, oraz spowodowały ewolucję w zasadniczych poglądach na kwestję kobiecą, a liczebnie przerastają mieszkańców płci męskiej o milion dwakroć sto tysięcy głów i szczycą się rozgałęzioną organizacją...”

Tu miss Williams podjęła pióro, ale zaledwie umilkła, tony zaczęły znów obiegać jej głowę, wprowadzając przytłumione i dyskretne, ale natrętne, wprowadzające do biblioteki żywioł obcy.

Muzyka zaś, którą panna Florentyna uważała za niezdrową podniecie zmysłów, spowodowała tem większą dystrakcję, bo nauczywszy się wystarczać sama sobie, żyła ona w pewnym odosobnieniu, w sferze z jej własnego ducha poczętej. Nie znosiła przeto, gdy cośkolwiek zmuszało ją do wyjścia z siebie i poddania się wpływom świata zewnętrznego. Atoli,

gdy myśli jej odczepiły się od pracy, pogodziła się ze śpiewem i zamiast przejść do innego pokoju, zaczęła się przysłuchiwać. Otworzyła okno.

Śpiew rozbrzmiewał teraz wyraźnie:

„Les plus courts plaisirs de ce monde
Font souvent les meilleures amours...”

Te Mussetowskie słowa uderzyły ją jako ostatni wyraz taktyki mężczyzn, bo panna Florentyna była niestrudzoną w wyszukiwaniu ujemnych stron znieprawionej płci. Dobra Suzon kochała go, a on był tak wspaniałomyślnym, iż pozwolił się kochać i raczył się nią zajmować przez dni osiem. Powolna sługa kochała go dopóty, dopóki sobie tego życzył, oszczędzając mu fatygi zrywania stosunku; posiadała bowiem dość rozsądku, aby zrozumieć, że długi związek nuży, że kobieta musi spowszednieć. Złożywszy przeto w daninie pewną sumę rozkoszy, odchodziła uszczęśliwiona z królewskiej łaski... ośmiodniowej. Jeśli zakrwawiła sobie serce, milczeniem i kłamiwym uśmiechem pokrywała boleść, aby nie zachmurzyć ani na chwilę czoła mężczyzny. Za to odebrała sowitą nagrodę: grzeczne pożegnanie i tytuł jasnej róży. To była boska miłość! O biedne kobiety! Własne matki wychowały was na niewolnice! O bezduszni mężczyźni, haniebni egoiści, oto wasz ideał!

Melodyjny, piękny głos płynął w cichą noc majową i zdało się, że noc zasłuchiwała się w serenadę, ukołysana rzewną, serdeczną nutą, której panna Florentyna, z upiorem wroga płci żeńskiej przed oczyma, nie mogła odczuć.

Z ciemnego sklepienia niebios mrugały roje gwiazd i księżyc rzucał błądy woal poświaty na zielony trawnik, który wąską wstęgą dzielił dwa szeregi niskich, bepiętrowych domostw, w jedną całość spo-

jonych. Co kilka kroków z szarych murów wyzierały duże, kwadratowe okna frontowych pokojów, do których przylegały obszerne pracownie malarzy, zaznaczające się na zewnątrz szklanymi wzniesieniami na dachu. Nie przedzierał się w to ustronie żaden odgłos ulicy, bo rozpościerał się pomiędzy niem stek oficyn i stajni, przecięty ciasnym przejściem. Wszystko spało.

Jedynie szeroka szyba, spoglądająca wprost w mieszkanie panny Williams, stanowiła uderzającą świetlaną plamę, sflumioną w tonie. Na otwarte okno bowiem zapuszczono cienką żaluzję.

Zająwszy miejsce pod oknem biblioteki, autorka mimowoli skierowała wzrok na tę jasną szmatę i ujrzała na niej sylwetkę mężczyzny, w górnej połowie widoczną. Z ruchu ramion wywnioskowała, że grał na fortepianie. Lecz zaraz zasłonił go inny cień, cień kobiety. Kontury jej, zrazu niewyraźne i olbrzymie, zmniejszyły się i uwydatniły ostro, gdy zbliżyła się do okna, i można było zaobserwować zgrabną głowę, nakrytą okrągłym kapeluszem, i wdzięczną fugurę.

Gdy śpiew ucichł, kobieta klasnęła w dłonie i srebrny głos jej zmieszał się z barytonem mężczyzny.

Panna Florentyna nie mogła od nich oderwać oczu.

Nieznajoma rzuciła się w fotel przy oknie, on ukląkł tuż przed nią. Profile i głowy czulej pary, odrzynające się dokładnie na żaluzji, zbliżyły się do siebie, sylwetki zlewały się w jedną grupę, to znów rozsuwały, a niższe ich głosy, przebiegając nieznacznie przestrzeń trawnika, zestrajały się w uchu panny Florentyny w drżący szmer, pełen uroków.

— Kiedy cię znów zobaczę, *darling*? — pytał mężczyzna.

W odpowiedzi młoda kobieta oplotła szyję jego ramionami i szepnęła mu coś na ucho. Szepnęła dłu-

go, lecz ani słowa nie przekradło się po za obręb pokoju.

Po chwili wszakże odezwał się głos męski:

— Nie ma innej rady!...

— Jednakże okropnie, że nie ma innej drogi wyjścia — rzekła nieznajoma i przysłoniła oczy chusteczką.

— Nie płacz, Heleno! Jestem przekonany, że wszystko ostatecznie będzie dobrze.

— I ja mam to przecucie, ale jednak... Doniesiesz mi, czy...

— Nie kłopotz się o to. Otrzyj łzy, droga! Prosił, okrywając jej ręce pocałunkami.

Panna Florentyna odrzuciła pasmo włosów z czoła bezkrwistą rączką i przymknęła oczy. Chciała powstać i odejść, lecz coś trzymało ją na uwiesi.

Zegar na pobliskim kościele zaczął wybijać dzwoniącą i wibrującą, poważny dźwięk spływał w nocną ciszę, przypominając im o istnieniu miasta i świata.

Cienie pierzchły w oka mgnieniu, jak mary, potem drzwi zaskrzypiały i dwie ciemne postacie wysunęły się z przedsionka. Młoda kobieta, z gęsto zawalowaną twarzą, idąc naprzód, westchnęła:

— Jak ten czas upływał!

— Nie mam dość dosadnej kłatwy — odrzekł.

Gdy pośpiesznym krokiem mijał okno biblioteki, naciskając czarny kapelusz, zasłonił ramieniem głowę, tak, że panna Florentyna nie dojrzała jego twarzy. Lecz wysoka jego postać korzystnie zrobiła na niej wrażenie.

Kroki ich przycichły i głucho było znów wokoło.

Samotna autorka spoczywała długo z głową usłaną na wezgłowie fotela, jakby zahypnotyzowana, pod czarem obrazu, i spozierając zadumana gdzieś ku księżycowym wyżynom, westchnęła głęboko.

Nazajutrz wieczorem, gdy panna Williams powracała do domu z wizyty i spojrzała w okno nieznanego sąsiada, sylwetki młodej pary zarysowały się przed oczyma jej duszy, uprzytomniła sobie podpatrzoną scenę i ogarnęło ją dziwne, odurzające uczucie, któremu poddała się poprzedniego wieczoru. Wszedłszy do biblioteki, mimowoli skierowała swe kroki ku oknu i długo spoglądała naprzeciwko, wywołując cienie, które utkwiły jej w pamięci i, osłonięte urokiem tajemniczości, zaciekały ją niezmiernie. Wyobraźnia podszeptowała jej, że w tej milczącej pracowni snuł się wątek miłosnej historii.

Ale w ciągu wieczora ciemność i niezakłócony spokój panowały nad całym zaciszem, sprawiającem teraz na niej wrażenie pustkowie. Odczuwała w niem instynktownie brak czegoś, co nie miało nazwy w jej słowniku, brak promienistej iskry życia, która od kochanków szła do niej, przenikała ją dreszczem i budziła w niej przysłonięte, uspięne na dnie jej istoty pragnienie radości.

Aby upozorować przed sobą i usprawiedliwić pewne rozstrojenie nerwów, robiła sobie wyrzuty za swą pustą ciekawość i niedyskrecję, oraz wzniewała w sobie oburzenie na nieznanego, powtarzając:

— Uwodziciel, nikczemnik, skandaliczna sprawa. Z pewnością nie omyliłam się w domysłach!

Osoba i los młodej nieznanego zaczęły żywo zajmować pannę Florentynę. Musiała ona pochodzić ze sfery inteligencji. Za przypuszczeniem tem przemawiał nie tyle ubiór i dystygowana powierzchowność, ile raczej sposób wystawiania się i intonacja pełna kobiecego wdzięku, które zdradzały ogładę, uprzejmość w obejściu i kulturę umysłową. Nieraz zdarzało się spotkać pannie Florentynie osoby, jak

najlepsze robiące wrażenie, a dość było posłyszeć z ich ust kilka, chociaż banalnych słów, aby odrazu odkryć w nich nieokrzese kobiety. Niezawodnie wykradła się od rodziców lub męża, by stawić się na schadzke.

Lecz czyż podobna powziąć takie przypuszczenie? Czyż mogła zapomnieć się tak dalece, pozwolić się wyprowadzić na manowce?!

Widocznie on odurzył egzaltowaną kobietę kadzidłami czczych pochlebstw, zakłęb i frazesów. Garść błyskotek rzucają mężczyźni pod nogi kobiet, chcąc zaćmić ich rozsądek, wyzuc z godności, ujarzmić i odsunąć je tym sposobem od wielkiej uczy życia. A nie poczynałże on już śpiewać na inną nutę? Ostatnie jego słowa wydały się pannie Florentynie wymuszone i nieszczerze; kusił się o dobitne wyrażenie rzekomego żalu nad rozłączeniem, bo go istotnie nie odczuwał. A cóż oznaczały słowa: nie ma innej rady? Naturalnie nie było innej rady, musiał ją porzucić. Przeczując taki koniec romansu, młoda kobieta płakała. Zapłaczte gorzko, gdy on wprost do niej zawnuci: *adieu, ma rose blonde*.

W miarę, jak nasuwały się pannie Florentynie różne wątpliwości i inne przypuszczenia, wzniewała się niepohamowana ciekawość i postanowiła zasięgnąć języka o nowym lokatorze.

W kilka dni, przez które autorka nie widziała ani „jej“, ani „jego“, przysłała posługaczka, aby jak zwykle raz na tydzień zmyć podłogę w przedsionku. A ponieważ pani Buns uprzątała także niektóre z pracowni malarskich, panna Williams, po chwili walki z sobą, zagadnęła ją:

— Czy wynajęto mieszkanie, które zajmował pan Stephens?

— Przed trzema tygodniami wprowadził się tam

pevien dżentelman — odapria posługaczka, szorując twardym kawałem mydła podłogę.

— Zapewne także rzeźbiarz? — rzuciła stara panna.

— Nie — rzekła pani Buns, podnosząc zdziwione oczy na autorkę, która w sobie zamknięta, nie wdawała się nigdy z nią w pogawędkę. — Gdzieżby taki dżentelman miał brudzić sobie ręce w glinie, albo smażyć beefsteaki na kominku, jak mister Stephens! Myślałby kto, że mister Stephens nie miał za co wypić szklanki piwa, a on nabył teraz kamienicę, ten sknera!

Panna Williams uśmiechnęła się z tego, że pani Buns poczytuje smażenie beefsteak'ów za nieodzowną cechę rzeźbiarza, ale życzyła sobie mniej posłyszeć o nim, a więcej o nowym lokatorze. Jednakże zawsze skłonnej do wypoczynku posługaczki nie potrzeba było prosić, ciągnęła dalej:

— Takiego dżentelmana dawno nie mieliśmy tutaj. Powiadam pani, co on ma za piękną bieliznę. Kaftaniki jedwabne...

Panna Williams życzyła sobie mniej posłyszeć o bieliźnie, a więcej o jej właścicielu.

— Wogóle prawdziwy dżentelman. Onegdaj gdy przyszedł rano uprzętać pokój.. Ale on tutaj nie mieszka; wielka pracownia stoi pustką, tylko frontowy pokój urządzony ślicznie, z fortepianem, ale bez łóżka. Tej nocy mister Oswald spał na swojej czerwonej kanapie tureckiej i kazał mi zrobić śniadanie. Dał mi za to trzy szylingi i mówi: niech pani wypije szklankę piwa za moje zdrowie i powie, co słyhać nowego. Toż wypitał piwa za jego zdrowie! Naopowiadał mi moc żartów. Nie uśmieiałam się tak od ślubu pani Jones, która, jak pani wiadomo, ma sklep jarzyn na rogu ulicy. To prawdziwy dżentelman, a nie dumny, piękny pan.

Pochwały posługaczki drażniły pannę Florentynę i przerwała.

— Czem on się zajmuje?

— Tego nie wiem — odrzekła zawstydzona swą ignoracją pani Buns. — Zdaje mi się, że on sobie pisze nuty, czasem pogra, pośpiewa i nie widać go przez kilka dni. Pewnie wyjeżdża, aby grać w krokieta, w golfa, lub na polowanie... zwyczajnie jak dżentelman.

— Czy on żonaty?

— Żonaty? Nie... Pewnego razu pyta mi się: pani Buns, ma pani męża? a ja na to: mam męża woźnicę i ośmioro dzieci. On zaś mówi: niechaj go pani trzyma krótko w cuglu, aby nie zajeżdżał do szynku. Jeśli pani raz już zrobiła to głupstwo i chłopca sobie wzięła, należy go pilnować, bo jakby go nie stało, drugi raz pani gotowa zrobić głupstwo. Pewnie sam nieżonaty. Urodziwy dżentelman, sześć stóp wysoki, śpiewa donośnie, to i panie lgną do niego. Nie wie może, którą wziąć.

Rysy panny Florentyny oblokły się w jowiszową grozę. Oddaliła się, wynosząc tę pewność, że pan Oswald posługiwał się mieszkaniem do tajnych schadzek, że był muzykiem z zawodu i najohydniejszym potworem pod słońcem.

— Oswald! — powtarzała sobie, starając się przypomnieć sobie napróżno, gdzie słyszała to nazwisko.

Tymczasem pani Buns zupełnie była zadowolona z pogawędkę, bo za najzabawniejsze uważała te rozmowy, w których jej samej nie zamykały się usta. Ośmielona teraz do panny Williams, przy najbliższej sposobności przyniosła świeżą wiązkę wiadomości o tajemniczym, prawie nigdy nieobecny lokatorze.

— Pytała mi się pani, czy pan Oswald żonaty... Well, wydało się, że jest narzeczonym.

Tu posługaczka przerwała, aby pozwolić panie Florentynie ochłonąć z wrażenia, jakie tak ważna wieść musiała na nią wyrzucić. Gdy spostrzegła na twarzy autorki odcień niezadowolenia, które w tem miało swe źródło, iż starej panie zdała się wymyknąć z pod mikroskopu sposobność do studjowania czerni charakterów, posądziła ją, że pomimo siwiejących włosów, chętnie zarzuciłaby wędkę na przystojnego sąsiada.

— Wczoraj opóźniłam się z uprzątnięciem pokoju pana Oswalda — zaczęła z namaszczaniem posługaczka, wspierając swe grube, niby kłody, ramiona na poręczy schodów — bo pani Jones wyprawiała chrzciny. Świetnie wystąpiła: piwa dała kilka „kwort”, jakby w Kanie galilejskiej, baraninę z pomidorami, placki, dzyn... A zatem dopiero z południa przyszedłam ścierać pył. Pana Oswalda znów nie zastałam, ale wnet zapukano i stanęła przedemną wysoka pannica, biała jak mleko. Wystroiła się do kawalera w białą, flanelową suknię i białe trzewiki. Dosyć sobie tęga, ale bodaj nie waży więcej nad dziesięć stone’ów. Na mój widok mocno się zaczerwieniła, bo nie godzi się panie chodzić do džentelmana. Wprawdzie pan Oswald džentelman zasobny, a więc nie będzie jej krzywdy, jednakowoż nieładnie, bo nużby się rozniosło. Mówiła, że nie spodziewała się zastać pana Oswalda, chociaż mnie tam oczu nie zamydli, włożyła w wazon dwa bukiety kwiatów, zawinęła się i poszła.

Z opowiadania przezacnej pani Buns nie wynikało, aby młoda kobieta była narzeczoną muzyka, lecz posługaczka przywiązywała do tego określenia bardzo szerokie i trochę niejasne pojęcie.

Tego samego dnia, pod wieczór, panna Williams, pracując w bibliotece, posłyszała łoskot otwieranego okna i szybko przypadła do fotelu, aby przez szparę,

pomiędzy obramowaniem okna i zapuszczoną żaluzją przyjrzeć się, co się dzieje w przystani muzyka.

Niewidoczna z przeciwka, mogła przeto objąć okiem znaczną część nie głębokiego pokoju, gdzie widać było pianino z wazonami kwiatów. Całą uwagę starej panny pochłoniął naturalnie sam lokator, brunet z twarzą smagłą, bez zarostu, z odrzuconemi śmiało włosami, profilem dumnym, rzymskim. Biły z tej twarzy wesołość, swoboda i zapal. Gdy paląc papierosa, wsparł się na gzymsie okna i wychylił głowę, wydał się w tej niedbałej pozycji jednym z tych, którzy, gdy iskra zapali zasoby ich energii i popchnie ich w pewnym kierunku, rzucają się naprzód, niepomni przeszkód, ścielących się po drodze.

Panna Florentyna wzięła go za syna gór walijskich lub Zielonej wyspy, za portret artysty, plastyczny do złudzenia, ujęty w ramy okna. I lubo zaspokoiliła ciekawość do woli, nie mogła nasycić się widokiem bohatera „skandalicznej sprawy”, wyznając sobie, że nieco odmiennie wyobrażała sobie tego „nikczemnika”. Ozwał się w jej duszy jakiś łagodniejszy ton i rozbrojona z arsenału bezpodstawnych uprzedzeń, epitet: nikczemnik, zastępowała w myśli określeniem: „ten mężczyzna”.

Tymczasem pan Oswald, nie zmieniając pozy, spoglądał bez przerwy ku wyłomowi w szeregu przeciwległych domów, który zapoczątkowywał wyjście z czworoboku na ulicę, i raz po raz wydobywał zegarek, widocznie oczekując przybycia „swej ofiary”.

Naraz światłość padła na jego oblicze taka, jakby pozłociło ją słońce. Dał się bowiem słyszeć szelest sukni i na trawniku ukazała się młoda kobieta w eleganckim czarnym stroju letnim, w różowym słomkowym kapeluszu, suto w róże ubranym, zawoalowana gęsto lśniąca gaza, z pod której wyzierały splecione w falisty węzeł włosy lniano-złote.

— George... — zaczęła żywo, gdy drzwi przed-
sionka odemknęły się przed nią, lecz dalsze jej sło-
wa i ona sama pograżyły się w głębi korytarza. Po
chwili wszakże ukazali się w pokoju oczom panny
Williams.

— Musiałam przybiec na chwilę. Śpiewałeś śli-
cznie. I jak dobrze, że wybrałeś „encore” intermezzo
z Jagliaci! — mówiła nieznojoma, zdejmując kapelusz.

— I temu zawdzięczam niespodzianą wizytę? —
pytał, całując jej rękę.

— Nietylko temu. Tęskniłam...

Tu panna Florentyna zamknęła oczy, aby nie
patrzeć na nich, wsłuchiwać się bez roztargnienia
w odgłos powitalnych czułości.

— Nie byłam pewną, czy cię zastanę. Domy-
śliłeś się, że przyjdę?

Muzyk wyrzwał na trawnik i nie dostrzegłszy
żadnego niepowołanego widza, usadowił Helenę
w krzesło przy oknie, a sam, zajmując miejsce tuż
przed nią, mówił:

— Daję słowo, sam nie wiem, czemu wprost
z koncertu dałem się tu przywieźć. Schodząc z estra-
dy, gdy spojrzenia nasze się skrzyżowały, zdało mi
się, że mrużąc twe niepocziwe szafiry, przesyłasz mi
wezwanie. Z radości o mało nie spadłem ze schodów,
wiodących do pokoju artystów.

— O, George! Przesadzasz! — roześmiała się za-
rumieniona. — Ale to dziwne, że mnie zrozumiałeś.

— Rzeczywiście. Miłość ma swój język, niepo-
dobny do zrealizowania, a wyraźny i piękny, jak mu-
zyka.

Pieszcząc jej rękę, spytał:

— Dlaczego to dopiero twoja trzecia wizyta?
Nic nie stoi ci na przeszkodzie a mnie nie obawiasz
się przecież?

— Nie! — odparła Helena. — Ufam ci, wiem, że
mnie uszanujesz, zresztą... jestem panią siebie.

— Moja najdroższa Heleno! — zawołał, jakby
dziękując jej za tę odpowiedź. — A zatem przybądź
jutro.

Po chwili namysłu młoda kobieta zrobiła prze-
czący ruch głową.

— W sobotę będziesz miał moją wizytę, bardzo
długą... na całe życie.

Chcąc jemu i sobie wynagrodzić zwłokę, poda-
ła mu obie ręce. Ciemna jego głowa przysłaniała
śnieżne lić Heleny i od szczęśliwej płynął szmer
czułych słów ku pannie Florentynie, która to przy-
mykała, to podnosiła powieki. Lecz widocznie było
nad jej siły wyrzec się widoku.

— rzekłeta sprawa! — zawołał naraz Jerzy —
że czekają mnie jeszcze dwa koncerty; radbym je-
dnym susem przesadzić sześć dni dzielących nas od...

— *No, darling*, nie prosz, abym przyszła przed
sobotą. Zresztą lękam się, aby nas kto nie wysłodził.

— Ależ dlatego prawie nigdy tu nie bywam.

— Gdyby kto z sąsiadów cię zoczył, poznanoby
cię odrazu. Mogłoby to dojść do uszu...

— Wieczne milczenie i pustka zalegają to ustro-
nie, ludzie tu żyją, niby myszy w jamie, obok dwie
pracownie stoją pustką.

— Jakie to miłe zaciszel... Jak często widzę je
w mych myślach... Ale niekiedy budzą się we mnie
obawy. Nasunęło mi się bowiem przypuszczenie, czy
kto nie doniósł ojcu... Ale być może, domyśla się on
czegoś poprostu, widząc mnie tak ożywioną od czasu
naszego porozumienia, bo ojciec wszystko zauważy,
lubo tego po sobie nie pokazuje.

— Czy mówił co do ciebie?

— Przedwczoraj, gdy zastał mnie samą w salo-
nie, spytał się od niechcienia, czy wybiłam sobie cie-

bie z głowy, a gdy mu odparłam, że nic nie wpłynęło na zmianę mych uczuć, odparł trochę zirytowany:

— Uparłaś się... Uporczywość zda się być wybitną cechą kobiet młodszej generacji. No, będąc pełnoletnią, masz prawo po swej stronie i wolno ci zrobić każde głupstwo. Lecz jeżeli rozsądek nie odezwie się i nie przemówi do sir Vincent Lintona, który jest dla ciebie jedyne odpowiednią partją, musisz wyrzec się ojca...

— Ach, gdyby ojciec mniej uwzględniał stronę prawną, a więcej był mi ojcem, ośmieliłabym się wreszcie wypowiedzieć przed nim, przekonać go, iż nietylko serce, ale i rozsądek nakazuje mi sprzeciwić się jego życzeniu. Miałam na ustach wyznanie, ale zdawało mi się, że stoję przed sędzią i zamilczałam. Mimo to, coś mi mówi, że on pogodzi się z dokonanym faktem...

— Ha! — wybuchnął Jerzy. — Niepodobna pojąć, jak człowiek tak światły, inteligentny, prokurator królowej, mógł ugrząść tak głęboko w konwenansach. Zresztą, na Jowisza, w pojęciu dzisiejszych ludzi mój baryton tyle znaczy przecież, ile sędziowska barania peruka i fortuna sir Vincent'a, może więcej... Nasi ojcowie posiadają pewne zalety, których nam brak, ale my natomiast możemy poszczycić się szerszymi na świat oglądami, uważamy kobiety za rozsądkiem wyposażonych ludzi, nie upieramy się...

— Prawda, George — przerwała — ale nie mów nic... Jeżeli ojciec mój uporczywy, to ja po nim odziedziczyłam tę właściwość, a nie możesz przecież utyskiwać na moją uporczywość...

— To pewna, że przekazał ci on swe adwokackie zdolności, moja najdroższa! — zawołał z uśmiechem. — Szkoda wszakże, że wzbrania się pomówić ze mną w cztery oczy; musi być droga do niego. Wprawdzie nie robię sobie najmniejszych skrępułów, ale cho-

dzi o ciebie. A czy sir Vincent nie podobał ci się ani trochę?

— O, George, jakis ty zabawny! — rozśmiała się radośnie, pieszcząc go po twarzy rączkami. — Nie masz mnie przecież za dziecko, które nie wie, czego pragnie i kogo kocha?... Czy pragniesz, abym cię kochała trochę?

Dalszą rozmowę przerwały uściski rąk George'a. Po chwili wszakże, z twarzą oblaną szkarłatem, zasłoniła mu usta dłonią, mówiąc:

— Czas na mnie... Ale, George, postąpimy właściwiej, jeżeli zaraz po koncercie wyjedziemy. Drzę na myśl o scenie z ciotką i z ojcem, na wypadek, gdyby wysłedzono naszą kryjówkę.

— Tu, moja droga, jesteśmy najbezpieczniejsi. Nikt nie wpadnie na nasz trop. Zresztą lubisz to zacisze, a gdy nastąpi spotkanie, ja cię zasłonię. I ostatecznie świat cały jest bezbronnym przeciw nam, mamy prawo za sobą i dzielnego przed ludźmi rzecznika: miłość...

— A zatem, darling, w sobotę...

— Spotkamy się o jedenastej, jak się umówiliśmy. Poprzednio spakuję rzeczy, wywozę, pozostawiając gospodarza w mniemaniu, że niezwłocznie po koncercie wyjeżdżam na kontynent. A tymczasem my tu przenocujemy, nazajutrz zaś z południa odpłyniemy ku fiordom... O, gdyby to już...

— Niezadługo już darling — szepnęła, i przytuliła się do jego piersi, a kaskada tkliwych wyznań lała w serce muzyka upajające zdroje.

Gdy wysunęła się z jego objęć i znikła, muzyk ujął bukiet róż, poił się ich wonią i jaśniejący szczęściem, zatopiony w słonecznych myślach, dotykał ustami kwiatów różowe głowy.

Zamęt i bezład zapanowały w dumaniach panny Florentyny, gdy znużona, rozstrojona, niemal złamana, spoczywała w fotelu. Nigdy nie była świadkiem podobnej sceny i teraz, gdy pokój naprzeciwno opustoszał, nie była pewną, czy wszystko to było prawdą, czy wytworem wyobraźni. I wydało jej się, że huragan przeszedł po ogrodzie jej teorii, ogołocił go ze wszystkiej kraszy, połamał łodygi troskliwie wyhodowanych kwiatów i pozostawił smutną pustkę.

Łzy zaszklily się w jej oczach. Ocierała je machinalnie, nie pytając, gdzie ich źródło. Zaprzestała krytykować „tego mężczyznę”, wzbudzać w sobie litość dla „niej”; zawładnęło nią zobojętnienie dla siebie, dla świata, swych prac i ideałów. Wstąpiła w nieznaną sferę uczuć, pełną dotkliwych przykrości, lecz zarazem przesiąkniętą subtelnym, rozkosznym prądem. Zapatrzona przyjaznym okiem w mieszkanie muzyka, westchnęła, potem mówiła coś do służącej, która pytała o kolację, kazała sobie przynieść herbaty i płakała.

W reformatorce i człowieku ocknęła się kobieta.

Następnego dnia powstała z łóżka blada, z przegastłymi żrenicami. Dopiero gdy odwiedziła ją niespodzianie jedna ze znajomych dam i wywiozła na dłuższą przejażdżkę za miasto, panna Florentyna przyszła do siebie.

Wprawdzie pani Forster była zbyt światową osobą, aby zaskarbić sobie łaski reformatorki, jednakowoż potoczna rozmowa, nie wymagająca umysłowego wysiłku, stanowiła pożądaną dystrakcję, odwołując ją od samej siebie. Zapragnęła nawet towarzystwa pani Forster na koncercie, w którym, jak wyczytała w gazecie, brał udział Jerzy Oswald.

W toku rozmowy kilkakrotnie chciała zagadnąć

przyjaciółkę o śpiewaka, oraz o „ową blondynkę”, córkę prokuratora, lecz obawa, aby pani Forster nie wyczytała jej sekretu z twarzy, zamykała jej usta. Występ zaś jego na koncercie upozorowała indagację z jej strony i w tym celu głównie zaprosiła panią Forster z sobą. Jeśli wymieniano imię Heleny w kołach towarzyskich w styczności z imieniem słynnego barytonisty, nie wątpiła, że pani Forster potrafi dać jej pożądaną informację, gdyż zamiłowanie jej do muzyki i teatru objawiało się przeważnie w dokładnej znajomości osobistych stosunków artystów, zwłaszcza ich spraw mniej lub więcej skandalicznej natury.

Uczucia jej względem kochanków uległy zmianie. Pan Oswald przestał być antypatycznym i nikczemnikiem, pragnęła ujrzeć go jak najprędzej i widywać jak najczęściej. Wspomnienie Heleny zaś wywoływało głuche uczucie niechęci i zazdrości.

Wszelako panna Florentyna nie śmiała zeznać przed sobą prawdy, zamykała oczy na istotny stan swego serca. Natomiast uciekła się do okłamywania samej siebie.

Nie z ciekawości pragnęła poznać nazwisko Heleny, lecz z wyższych pobudek. Nie mogła przecież spoglądać spokojnie na upadek zbłąkanej kobiety, która zmierzała ku przepaści. Bo pan Oswald, zapewne zepsuty powodzeniem, nie zrobiłby takiego „głupstwa”, aby poślubić Helenę wbrew woli jej ojca! W ciągu długiej rozmowy nie było mowy o ślubie! Byłoby ciężkim grzechem wydawać Helenę na pastwę męskiego egoizmu; należało ją ratować.

Myśli „ratowania” Heleny od niebezpieczeństwa nie podyktowały jej teorie, absolutnie bezsilne wobec realnej, o struny jej serca potrącającej sprawy. Służyła ona jedynie za parawan, przysłaniający pospolitą zazdrość. Sama nie żywiąc nadziei, aby mogła zająć miejsce Heleny, nie życzyła sobie widzieć innej ko-

biety w jego ramionach. A ponieważ los młodej kobiety nie grał żadnej roli, nie zastanawiała się zrazu wcale, jaką drogą wyprowadzić ją z matni, lecz uspokajała się, mamiała ostentacyjnym zamiarem, upajała szumnie i zgodnie z jej zbladłemi teorjami brzmiałem słowem: ratunek!

Z bijącym sercem weszła panna Williams do sali koncertowej, tak przepełnionej różnobarwnemi toaletami i strojnemi kapeluszcami, że robiła wrażenie łań falujących kwiatów.

Lecz otoczenie nie ściągnęło wcale jej uwagi; jakby w półśnie czekała występu pana Oswalda, a gdy wreszcie pojawił się na estradzie, witany żywymi oklaskami, twarz panny Florentyny wypogodziła się.

Odrazu śpiewak zawładnął całym audytorjum pięknym organem, zrozumieniem pieśni i przejściem się melodją. Tony same przez się, bez względu na cel, jakiemu służył, były dlań źródłem radości duchowej, wsłuchiwał się w nie, niby ptak w swe tryle, słowa pieśni zaś tchnęły w nie iskrę ducha, stanowiąc niejako podkład, czy natchnienie. I gdyby nawet ucho nie pochwytiło słów, śpiew sam przenosił przewodnią myśl utworu w piersi słuchaczy, wzbudzał nastrój, pod którym powstały strofy. Jakoż pieśń zamieniła się w muzyczny poemat.

— Dawno nie słyszałam go tak śpiewającego! — zawołała pani Forster, klaskając entuzjastycznie.

Panna Florentyna milczała, przejęta do głębi. W tej chwili przekonała się jasno, że nie jest jej objętym.

— Czarujący człowiek! — rzekła pani Forster. — Chciałabym go spotkać w towarzystwie. Żal mi go...

— Czemu? Czemu? — podchwyciła panna Florentyna, siląc się na ton obojętny.

— Musiałas słyszeć, że był żonatym z Ellą

Masketyne, tą piękną sopranistką, która pięć lat temu sprawiła w Londynie istną sensację. Ale z pewnością wiesz, jak się to skończyło.

— Jak się to małżeństwo rozeszło?

— Wyobraź sobie — ciągnęła żywo pani Forster, czując się w swym żywiole — po ślubie okazało się, że piękna Ella zdradzała pociąg do... kieliszka. A nałóg ten rozwinął się wkrótce do tego stopnia, że oddano ją do zakładu dla alkoholizmem dotkniętych osób. Stan jej jest okropnym, beznadziejnym. Biedny mr. Oswald! Podobno odwiedza ją od czasu do czasu. Tak interesujący człowiek!

— Zapewne wziął rozwód?

— Niezawodnie, dość, że wkrótce ma poślubić pewną Amerykankę, nie młodą, lecz niezmiernie mądrą, która oddawna nim jest zajęta.

— Czy to pewne?

— Mogę ci zareczyć. Chodziły pogłoski, że miał wejść w związek z miss Egerton, córką lord justice.

— Czy mówisz o prokuratorze Egerton z Portman square? — podchwyciła panna Florentyna.

— Tak jest. Ojciec sprzeciwił się, zagroził jej wydziedziczeniem i ostatecznie miss Egerton wychodzi za sędziego sir Vincent Linton, a nasz śpiewak bierze miliony i starą Amerykankę. Ale wystaw sobie, co opowiadano mi o lordzie Lister i pani Charington, żonie owego milionera piwowara, która na wyścigach...

Tu pani Forster rozpoczęła skandaliczną historję, która obiegała właśnie koła wyższego towarzystwa, ale przyjaciółka zaledwie jej słuchała.

Zaspokoiwszy swą ciekawość, nie podzieliła się z panią Forster wiadomościami o panu Oswaldzie ze swego źródła. Zresztą pieściła nadzieję, że może on istotnie zamierza połączyć się z amerykańką milionerką. Jaki los spotkałby wówczas Helenę? W tem

przypuszczeniu było coś kojącego, błęgiego. Nie życząc sobie zakłócać pogodnego usposobienia widokiem pięknej panny Egerton, panna Florentyna nie rozglądała się za nią po sali, ale gdy po koncercie, wśród natłoku zwolna posuwała się ku wyjściu, ujrzała znajomą sobie blondynę, w czarnej lekkiej sukni i różowym kapeluszu, w towarzystwie kilku dam.

— Przepięknie śpiewa i sam piękny, czarujący... — mówiła jedna z dam zapewne o panu Oswald do Heleny, które śnieżne lica powlokły się radosnym szkarłatem. A uśmiech jej, jak kwiat, miał swą woń, bo gdy pierzchnął, pozostawił na jej twarzy odblask cichego, wielkiego szczęścia.

Drobne to zdarzenie, które pana Florentyna zaobserwowała, odjęło jej jasny nastrój umysłu, i pożegnawszy niebawem towarzyszkę, podążyła do domu spochmurniała.

Nie było go w zacisznym pomieszkaniu. Przybył wszakże nazajutrz po południu i autorka zauważyła ze swej kryjówki, że długo krzątał się po pokoju, robiąc widocznie przygotowania na przyjęcie swej blondyny.

Widok czarującego mężczyzny tak dalece pochłaniał uwagę starej panny, że zaledwie zdawała sobie sprawę, iż on urządza sypialnię dla „niej”, tej hożej, młodej kobiety, której sypał pod nogi tyle wyznań miłości.

Wieczór ten upłynął rozkochanej pannie Florentynie w półśnie rozmarzenia. Wyobrażała sobie bowiem, że jej własny cień zapanował w przystani miłości. Gdy śpiewał, śpiewał dla niej, panny Williams, nie tej starej, siwiejącej, stetryczalej, zgorzkniałej reformatorki, lecz młodej, uroczej, kochającej. Gdy zamysłony siedział w krześle, jej portret wywoływał przed oczy duszy, gdy uśmiech błysnął na jego twa-

rzy, ją całował w myśli, gdy westchnął, za nią tęsknił, gdy leniwym ruchem wznosił ramiona w górę, pragnął ją objąć jak najprędzej. Bo kochał ją, tylko ją...

Przycisnąwszy ręce do piersi, panna Florentyna zapatrzyła się w niego zamglonem okiem i — któż byłby posadził ją o to? — gorącym szeptem wyznawała mu swą miłość... Ciskała mu pod nogi swe serce bezwzględnie, oddawała mu się serdecznie i raz po raz ze wzburzonej falą uczuć piersi uciekało nieposłyszane westchnienie: ach, gdyby mnie kochał...

Jakżeż daleko odbiegła od swych teoryj?

Śpiewak przespał tę noc w swej kryjówce, nie chcąc rozstać się z wspomnieniami swej ukochanej, które odnajdywać tu musiał żywe i urocze. Do późna też przelewał potok swych uczuć w tony, spowiadał się muzyce ze swych nadziei i szczęścia, a stara panna z przeciwka patrzyła, słuchała, dumiała...

IV.

Helena! — Z tem imieniem na ustach zbudziła się nazajutrz autorka i uprzytomniła sobie jasno wszystko. Nie zeznała jednakże przed sobą, że jedynym bodźcem do czynu, do wyjścia z roli biernej była zazdrość, bo lękała się śmieszności nawet wobec siebie samej. Jakoż projekt „ratowania zbłąkanej, szalonej dziewczyny”, wyłonił się znów i zaprzętnął jej głowę.

Czas naglił. Następnego dnia mieli przybyć pokrywom i raz jeszcze, może po raz ostatni, stargać jej nerwy. Należało działać niezwłocznie.

Atoli panna Florentyna nie odrazu powzięła postanowienie. Czy miała wystosować list do niej lub do jej ojca? Nie. Tym sposobem bowiem zdradziłaby swą niedyskrecyę. Anonimowe listy zaś uważała za niegodne siebie i nie wiodące do celu. A gdy-

by nawet prowokator dał wiarę jej pismu, czyliż Helena nie mogłaby skutecznie swego zamiaru w kilka dni później? Ostatecznie zdecydowała się panna Florentyna poprosić pannę Egerton do siebie przez służącą, zanim przestąpi próg kryjówki muzyka, pomóc z nią otwarcie, w cztery oczy, odezwać się do jej rozsądku, rozbudzić uspione poczucie kobiecej godności.

Mimo, że podjęła się roli opiekunki, tak zgodnej ze swemi teoryjami, bez zapału myślała o „ratowaniu” Heleny, nie czując się na siłach, aby spojrzeć jej śmiało w oczy, bo w głębi jej duszy szeptał głos sumienia, iż zamierza stroić się w fałszywe pióra.

W rozterce z sobą oczekiwała przybycia kochanków. Godziny upływały leniwo. Wybiła siódma i ósma, potem wieczór zapadał, stada sinych chmurek usłały się na posmutniałym błękitnie niebos. Rozgorzały w różowych blaskach zachodzącego słońca i zagaśły. Noc nadchodziła chłodna, lecz w pokoju muzyka było pusto.

Nie zapaliwszy lampy, autorka stała wsparta przy framudze okna, miotana takim niepokojem, jak by wyglądała swego kochanka. Zaczęła przypuszczać, że idąc za radą Heleny, wyjechali natychmiast po koncercie w podróż, i na tę myśl ogarnął ją żal, bo bądźco bądź na dnie jej serca tliło się pragnienie popatrzenia na nich, zacerpnięcia od nich kilku upajających kropli z krynicy radości życia. Jakoż wynajdując powody, przemawiające za rozłączeniem ich i za uniknięciem widoku kochanków, obawiała się, czy nie zmienili planu i nie unieśli z sobą kagańca miłości, który jej samej oświeślał i zabarwiał widnokrąg. Jak smutno było bez nich wokoło!...

Lecz w tem doleciał ją odgłos głosów. To oni. Przesunęli się przez trawnik i zniknęli w przedsionku. Zazdrość przeszła ją bolesnym prądem, zrobiła

ruch, jakby chciała odejść i wydać polecenie służącej, ale czuła się bezsilną, ubezwładnioną. Nie mogłaby w tej chwili kłamać. Współprzymorna wyteżyła zmysły, by nic nie uronić z rozgrywającej się naprzeciwno sceny banalnej, a przecież tak uroczej.

Tymczasem w pracowni zapalono lamny. Byli sami, młodzi i rozkochani, świat zniknął, albo raczej zamknął się w obrębie zacisza i skrytyzował w ich piersiach. I stali tak długo wśród świateł i kwiatów, a przez uchylone okno wykradał się szmer ich głosów, zlewający się w jeden cichy akord słodkiej muzyki, która odbijała się echem o struny serca starej panny. Wsłuchiwała się ona w tę dziwną, denerwującą harmonję, czując, że miły zamęt ogarnia jej głowę, wyzwała z cielesnych okowów i przenosi ją w inną sferę.

Lecz łzy płynęły jej z oczu obficie.

Naraz okno naprzeciwno zapadło, powlokło się mlecznym woalem, a panna Florentyna jakby ze snu zbudzona, zsunęła się w fotel, wyczerpana, pijaną sensacją. Ale nie odwróciła oczu od sylwetek.

Na skrzydłach wyobraźni wybiegłszy raz do sypialni muzyka, panna Florentyna pozostała jeszcze z nimi. Ale po chwili pochwyciła się rękoma za głowę, zatopiła ją we włosach, a na twarzy jej spoczął rys rozpacz.

— Nie chcę, nie ścierpię... — szepnęła i zerwała się z siedzenia. — Za te tortury zgotuję im gody weselne!

Skreśliła szybko kilka słów bez podpisu i sama pobiegła wrzucić w skrzynkę list, zaadresowany do prokuratora Egerton.

Wracając, przystanąła na trawniku i, zwrócona twarzą ku pomieszczeniu śpiewaka, myślała:

— Czemu człowiek nie może wyrzec się zni-

komości świata, zaprzeć się miłości, żyć w duchu i dla ducha?...

Plamka przyćmionego światła mrugała ku niej z sypialni śpiewaka i panna Florentyna, tłumiąc okrzyk serca, szepnęła, pokonana przez wzgardzoną miłość:

— Okrutna zemsta amora!...

V.

Wysoki mężczyzna z siwiejącymi faworytami, twarzą poważną, piękną jakby z granitu wykutą, wszedłszy około dziesiątej zrana w czworobok zabudowań, rozglądał się wokoło i spostrzegłszy przechadzającą się po trawniku kobietę, ozwał się.

— Czy może mi pani wskazać pomieszczenie pana Jerzego Oswalda?

Lord justice Egerton stał przed panną Williams, która po źle przespanej nocy, znękana migreną, wyszła na świeże powietrze. Ze strumieniem wypłakanych łez odpłynęła jej zazdrość, powiew erotyczny rozwiął się, żar w żyłach wygasł i nareszcie wszystko jasno zarysowało się przed nią. I w tym momencie, gdy grom zawisł tak blisko nad głowami kochanków, pojęła swój postępek i zarumieniła się ze wstydu, iż zdradziła ich tajemnicę, zdradziła anonimowym listem. Ona, poważna autorka, sekretarka klubu postępowych kobiet, godziła na szczęście młodej kobiety, która obstając silnie przy swych prawach człowieczeństwa, nie pozwalała narzucić sobie ojcowskiej woli.

A wydawało jej się w tej chwili, że przenikliwe żrenice prokuratora spoczywały na niej z odcieniem pogardy, że wyczytywały, iż ona była autorką anonimowego listu, który go tutaj sprowadził. Zawałała się z odpowiedzią.

Gdyby można naprawić małoduszny postępek i odwrócić od nich nawalnicę!...

— Nie wiem... — odparła wreszcie, z trudnością opanowując wzruszenie. — Jeśli się nie mylę, jedną z tych pracowni, będących obecnie do wynajęcia, zajmował do niedawna dżentelman podobnego nazwiska, ale... nie wiem.

— A gdzie mieszka właściciel tych domów?

— Na przedmieściu Wimbledon.

Było to o kilkanaście mil angielskich od tego zacisza.

Niezrażony przybysz popatrzył uważnie na tablicę, umieszczoną nad pustą pracownią, na której stało nazwisko i adres agenta, wydzierzawiającego pomieszczenie. W ostateczności mógł uciec się do niego. Tymczasem zaś szukał oczyma kogobądź, ktoby udzielił mu zaraz informacji, a gdy wzrok jego zahaczył się o pomieszczenie śpiewaka, panna Williams, wskazując w przeciwległą stronę czworoboku, rzekła:

— Tę pracownię zajmuje malarz-akademik, pan Stanley.

Skłoniwszy się pannie Williams, pan Egerton zapukał do wskazanej pracowni. Widocznie jednak nie zasięgnął języka, bo po chwili rozmowy z panem Stanley zwrócił się ku drzwiom, wiodącym do atelier francuskiego pejzażysty.

— Mr. Oswald! — powtórzył Francuz, nie rozumiejąc, o co chodzi. — No, no mr. Oswald... Henry Mazel.

A gdy prokurator usiłował wytłomaczyć się, wzruszył ramionami, gestykulując żywo, dodał:

— Je ne comprends pas... connais pas mr. Oswald.

Z kolei pan Egerton skierował się ku kryjówece śpiewaka.

— Co za scena! Com uczyniła! — pomyślała panna Florentyna, która, przechadzając się zwolna nie spuszczała z oka przybysza. Wszystko musiało wyjść na jaw i zarazem jej sprawką.

Pan Egerton zastukał raz i drugi, lecz drzwi się nierozwarły, pukał jeszcze — napróżno, poczem zwrócił się ku wyjściu z zafrasowaną fizjognomią.

Autorka odetchnęła głęboko, kamień spadł jej z serca.

— Może posłyszeli i rozpoznali głos jego... — pomyślała.

Przybysz zawahał się jeszcze i zanim odszedł, spojrzął na tablicę agenta.

Z pewnością udał się wprost do biura agenta — przypuszczała stara panna — lecz zajmie to najmniej trzy kwadranse czasu. Gdyby można ich uprzedzić natychmiast o wszystkim! Wówczas nie padłoby na nią podejrzenie, że jest autorką listu. Ale jak uskutecznić to bez narażenia się na inne podejrzenia, że... wie o wszystkim?

W kilka minut dostrzegła panna Florentyna, że żaluzja w oknie śpiewaka uchyliła się ostrożnie. Potem drzwi odemknęto i stanął przed nią wysoki brunet w jasnym flanelowym ubiorze.

— Przepraszam panią — odezwał się, tocząc okiem po dziedzińcu — czy nie zauważyła pani, kto pukał do mego mieszkania?

Gdy panna Williams, wpatrzona w niego ciekawie, opisała mu przybysza i oznajmiła drżącym głosem, iż pytano ją o pana Oswalda, zawołał wesoło:

— Rzeczywiście?! Na honor, to ciekawe!... I jaką dała mu pani odpowiedź, jeśli wolno spytać?

— Że nie wiem.

— I odszedł z kwitkiem?! — wybuchnął rozpromieniony z uśmiechem zadowolonego figlarza! — Kapitalnie! Bardzo jestem pani wdzięczny...

„Nie łatwo zdekoncertować tego koncertanta“ — pomyślała, sama nie mogąc się oprzeć uśmiechowi. Ale gdy rzuciła przypuszczenie, że sędziwy dzentelman pojechał do agenta, muzyk zastanowił się i szepnął przeciągle:

— O!... To być może.

— Zapewne pan...

— Tak jest, jestem George Oswald... Dziękuję pani bardzo...

— Żałuję, że nie wiedziałam...

— Nie stało się nic złego, przeciwnie... Podążę zaraz za... tym panem.

Jakby uderzony jakąś myślą, dodał:

— Wszelako mógłbym minąć się z nim w drodze, a żona moja nie życzy sobie... nie jest gotową przyjąć tego pana... Czy przeto nie byłaby pani tak uprzejmą dać jej u siebie gościnę, bo zapewne pani sąsiaduje z nami. Proszę mi wybaczyć, że trudzę panią osobistą sprawą...

— Z największą przyjemnością — podchwyciła, czując, że wszystko dla niego zrobić gotowa, tak dalece opanował ją jednym słowem. — Oczekuję żony pańskiej.

Mimowoli położyła nacisk na słowo: żona, ale pan Oswald nie zauważył tego, rad, że oszczędzono mu wyjaśnienia. Podziękowawszy jej z wylaniem, pośpieszył do siebie, a niebawem wybiegł na ulicę.

Tymczasem Helena schroniła się do panny Williams, wielce zaambarasowana, nie wiedząc, w jakich słowach umotywić dziwne postępowanie z ich strony. Ale autorka, pragnąc zbliżyć się do nich, tych dwojga istot, w których romans jej dusza i serce wplątały się tak silnie, zdobyła się na niezwykle uprzejme przyjęcie i zachowała pozory osoby niczem nie zdziwionej. Jakoż ujęta i ośmielona mło-

da kobieta, wypowiedziała się półśłówkami ze swe miłosnej historii.

— Kiedy odbył się ślub? — podjęła z ukrytą ciekawością stara panna.

— Wczoraj zrana... Lękam się, jak ojciec to przyjmie...

Z niepokojem spozierała przez okno, porywała się na nogi za najłżejszym szmerem, a gdy wreszcie posłyszała kroki, pędem wybiegła do sieni.

— Zdybałem go — ożwał się śpiewak żywo.

— Mów, George! — zawołała i klasnęła w dłonie, z rozpromienionej jego twarzy czytając dobre wiadomości.

— Przebaczenie! Odniosłaś zwycięstwo, zaimponowałaś ojcu, który w gruncie rzeczy czuje się z ciebie dumnym, daję słowo.

— Co mówił?

— Dużo, poważnie i wymownie o nierozwazde kobiet, o twem prawie rozporządzania sobą, o swych powinnościach ojcowskich, o braku poszanowania rodziców w młodej generacji, Bóg wie, o czem nie pawił. Ja zaś pokazałem mu dokument ślubny, wypaliłem lakoniczną orację na twą obronę i spytałem: Czy na mem miejscu postąpiłby pan inaczej? Kocham Helenę i kwita, a ponieważ nie jestem starą babą, zatem... To go nawet rozśmieszyło.

— O! kochany ojciec! Wiedziałam, że to ta nieznośna ciotka!... Koniecznie muszę się z ojcem pożegnać!...

— Jaką robi minę nie wiem, ale pewno się ucieszysz.

— O George, jak doskonale się złożyło!

Upłynęła długa chwila, zanim przypomnieli sobie o obecności panny Williams, która przysłuchiwała się z pokoju. I raz jeszcze doświadczyła tortur za-

zdrości na widok ich zupełnego, słonecznego szczęścia i trjumfu miłości.

Poszli, a ona pozostała bardzo sama... z pliką papierów i swemi myślami.

VI.

— Szczęśliwi!... — westchnęła zadumana i wobec jasności, opromieniającej ich drogę życia, własna jej przyszłość zdała się tonąć w tumanie przygnębiającej monotonnej szaroty.

— Innym wytykam drogowskazy — mówiła sobie — a lekki powiew wiatru z po za obrębu mego światka wyrwał mi ster z ręki i poniósł mnie samą w objęcia miłosnych szarów. Jak odmienną okazałam się od reformatki? Słabą, zmysłową, zazdrosną, małoduszną, niezgodną z memi pismami, niekonsekwentną jak dziecko, działające pod chwilowem wrażeniem. Teraz dopiero zaczynam rozumieć siebie... Głosząc kobietom wytwory mych życzeń, nie liczyłam się z potężnym instynktem, który zadrwił sobie ze mnie, obaliwszy gmach mych teorii i zmusiwszy pójść za swym głosem...

— I kto wie, czy nie lepiej brnąć śmiało w życie, cierpieć i radować się na ziemi, niż zamknąć się wyłącznie w sferze ducha i usiadłszy na olimpijskiej wyżynie, pędzić dni w głuchej martwocie. Oni nie wyrzekli się uciech znikomych, nie uciekli od życia i spłynął na nich ciepły promień szczęścia. Niepomna na głos natury, wołam: „nie zrywajcież róż, bo mają kolce“, wołam naprzódno. Czyliż przeto wszystka moja praca bezowocna?...

Po długich dniach rozterki i zwątpienia wszakże wstąpił duch w pannę Florentynę. Epizod postradał żywy koloryt, myśli skierowały się w zwykłe łożysko i panna Williams zaczęła znów pisać

według dawnej modły. Jednakże zapanował w jej rozprawach ton minorowy, jakby czuła się trochę zachwianą w dogmatycznej wierze w swe teorye i niedowierzała sama sobie, a gromy, ciskane na pleć mężką i na miłość, wyrwały się z pod jej pióra bez bombastycznego hałasu.

Lecz raz jeszcze zakłócono jej spokój duszy.

Było to w dwa lata później, wiosną. Państwo Oswald przybyli niespodzianie na sezon wiosenny do Londynu i zajęli pomieszkanie naprzeciwno, gdzie czekało ich tyle drogich wspomnień.

Wówczas zacieśniły się pomiędzy dwiema kobietami węzły, zadzierzgnięte wśród niezwykłych okoliczności, i panna Williams niejednokrotnie naprowadzała rozmowę na zajmujące ją kwestye.

— Być może, że miłość zadaje cios śmiertelny samoistności kobiety, z natury niesamoistnej—zauważyła Helena pewnego razu przy herbacie w bibliotece autorki — być może poniża kobietę z natury ku nizinom się chyłącą, lecz na podstawie mego doświadczenia doszłam do innego przekonania. Miłość bowiem wzniciła we mnie poczucie człowieczeństwa, skryształizowała mój charakter, dała mi siłę do walczenia o prawa mego serca, do pokonania przeszkody, która kładła się kamieniem na drodze do swobodnego rozprzestrzeniania się mej indywidualności, do mego szczęścia... Jak może pani przyczynić się do dobra kobiet, zaszczepiając w nie nienawiść do płci męskiej, pojąc je goryczą, rozgraniczając rodzaj ludzki na każdym kroku na dwa obozy? Tymczasem myśmy wszyscy ludźmi, skazanymi na to, aby żyć z sobą wspólnie. Sądzę, że więcej dokazałyby pani, idąc między kobiety ze słowem miłości na ustach...

— A przecież twierdzenia pani nie obalą mej teorii — rzekła wymijająco autorka.

— Teorii...—powtórzyła Helena.—Jerzy, mają-

cy wstręt do reguł i formulek, utrzymuje, że każda teoria ma to do siebie, iż jej negacja, czyli wręcz przeciwna teoria, jest również prawdziwą. Bądź co bądź zatem, moja teoria jest także dobrą, a w życiowej praktyce...

Tu śpiew przerwał dalszą rozmowę. Obie kobiety spojrzały naprzeciwno.

W głębi pokoju było widać kołyskę. Pan Oswald zaś siedząc w oknie, nucił pieśń swej kompozycji do balady Swinburne'a i zaręczał słowami poety, że niechaj los co chce niesie, jedno w życiu nie traci wartości: zaznać szczerzej miłości, przeprowadzić ją bezpiecznie przez ciernie po ścieżkach żywota, póki dzień na niebie, póki obłok się stroi w barwy żywe, a usta pałają gorącym szkarłatem.

Na widok drogich sobie istot Helena zapomniała o całej rozmowie i pospieszyła do siebie.

Tymczasem autorka, lubo odczuwała dotkliwie czczość swych teorii, bezwartościowość swych przepisów, rozbijających się o skałę codziennego życia, oraz eteryczność swych duchowych uciech, które z siebie samej czerpać musiała — próbowała w pracy szukać zapomnienia. Lecz ścigały ją słowa pieśni, stawały przed oczyma sylwetki pary, związanej węzłem szczerzej miłości, i czarował ją obraz cichego szczęścia, które składali sobie u nóg wzajemnie. Pióro wypadło jej z ręki i szepnęła znękana:

— Zbankrutowałam...

Wieczór zapadł i głęboki cień smutku osiadł na licach starej panny.

ANALFABETA

Było to w czasach, gdy na ulicach Londynu dzwonił jeszcze jednokonny, elegancki, na wzór gondoli nieco rozkołysany hansom - cub, a samochód nie zakadzał miast wątpliwymi perfumami, nie pokutował po drogach, nie straszył koni, nie rozbijał wozów, nie przejeżdżał ludzi, psów i gęsi, nie wnosił w bytowanie nuty niepokoju i nie przypominał, że czas to pień. Ulubionym i modnym wehikułem spacerowym był wówczas nad Tamizą rower. Dosiadał go każdy między szóstym a sześćdziesiątym rokiem życia: sztabak i pastor, chuda miss i otyły business - man, sport-smeński dandy i na wzór przykładowości upozowana pani Grundy. Roilo się zatem od mrowia cyklistów w mieście, a sielskie przedmieścia i okolice poczytywali oni za wdzięczny swój teren do harców, gonitw i flirtów.

W istocie, gdy lato, wynurzywszy się z powicia wilgotnych mgławic wiosennych opromienia blaskami przyrodę, wycieczki takie posiadają taki nadzwyczajny urok, jak pejzaż angielski. Można nie lubić miast na tej wyspie, ale niepodobna nie zachwywać się wsią angielską i irlandzką. Nie dość, że nosi ona cechy odwiecznej kultury, że niemal każde hrabstwo ma swój odrębny charakter, że niezmierna obfitość drzew i krzewów ożywia krajobraz; chlubi się ona jeszcze swą wręcz nieporównaną szatą — swą prześliczną zielenią.

Zieleń w morskim klimacie tych wysp, utrzymywana w świeżości majowej, zda się na złotem spoczywać podłożu. Pociąga oko swą soczystością, swym wyrazistym tonem, swym szczerym charakterem. Stąd malatury pejzażystów angielskich wydają się na kontynencie oryginalnym, idealistycznym tworem, a Oskar Wilde uważał zieleń za kolor artystów i sądził, że rozmilowanie się w niej jest znamieniem subtelnego artystycznego temperamentu.

Kapałem się w roztoczach tej zieleni, jadąc na rowerze ze stolicy nad Kanał Angielski po żółtej, gładkiej jak stół taśmie żwirówki, wijącej się po ogromnych falach urodzajnej gleby. Przemknąłem opodal wspaniałego zamku księcia Norfolku, zbliżyłem do Aldershot, głównej kwatery armii, gdzie na kilkokilometrowej linii wydęte bałwany ziemi opadają miękko, niżej i niżej ku dalekiemu pobrażu.

W dni pogodne, świąteczne spotykać tam było można całe kawalkady pańien okolicznych i londyńskich, które przygodnie zgrupowane i na różnobarwną składającą się mozaikę, sunęły cicho niby w półsenem dolce far niente z płaskowzgórza, lub zlatywały jak stado ptaków, szczebiocząc niby na pikniku.

Minąłem taki świergotliwy pułk amazonek, przejechałem przez błonia dla wojsk i zbliżyłem się do miasteczka Alton, skąd już tylko niewiele kilometrów dzieliło mnie od morza, od Nowego Lasu i wysepki Whight, gdy zepsuło mi się coś przy wym wehikule. Okazało się, że nie zabrałem z sobą potrzebnego do naprawy narzędzia. Trzeba było zatem udać się do jakiegoś mechanika w Alton.

Wskazano mi biały domek wśród nagiego pola. O ściany jego opierała się baterja zardzewiałych rowerów i dwa czy trzy motocykle, przez szybę niskiego okna widniała na stole bezładna mieszanina śrub, cząstek rowerów i narzędzi najróżniejszych. Nad drzwia-

mi nie było żadnego napisu. Na słomą i zdębiami przeznaczonym ganku promenowały kury i dwaj chłopcy bawili się w koniki. Spytałem się ich o mechanika pana White'a.

— Papa śpi — odparł jeden z nich.

— Już po jedenastej.

— Papa często śpi w niedzielę o tej porze.

— Nie chodzi do kościoła?

Małec zastanowił się i rzekł:

— Wychodzi o wschodzie słońca na połów ryb w jeziorze, potem śpi...

Siadłszy na przyzbie, posłałem chłopca do wnętrza domku na wywiad, czy pan White raczył powstać i czy zechce łaskawie przy niedzieli naprawić mój rower. Niebawem ukazał się trzydziestokilkolletni, dobrze odżywiony i czerstwy szatyn w chodakach, luźnych pludrach paskiem ściągniętych i białej koszuli. Popatrzał na mnie z ciekawością, a potem dopiero obejrzał rower, nie spiesząc się wcale.

— Nim pan wypali fajeczkę, zmajstruję to — rzekł.

Wypytał się mnie dokąd i poco jadę, poczem dopiero udał się do wnętrza po narzędzia. A gdy wróciwszy ujrzał mnie z gazetą w ręku, ozwał się mrukliwie:

— Miejskim obyczajem psuje pan sobie wzrok, wpatrując się w te szeregi czarnych, drobnych znaczków jak, nie przymierzając, sroka w gnat.

— A pan nigdy się w nie nie wpatruje?

— Nigdy! — zawołał emfaticznie z poczuciem swej wyższości. — Nie na to przecież Pan Bóg dał człowiekowi oczy, by wpatrywał się w jakieś nadrukowane roje punkcików, psuł sobie przez to wzrok, zatracił spostrzegawczość na zjawiska przyrody i na rozsądniejsze rzeczy od książek i gazet.

— Tak pan sądzi? Równie dobrze mógłby pan

powiedzieć, że Pan Bóg nie dał człowiekowi nóg na to, by jeździł na rowerze i na nim przebierał nogami, lecz tylko, by chodził. A jednak naprawia pan owe rowery.

— Naprawiam. Przychodzi mi to łatwo, ludzie żądają tego odemnie. Nie mam też nic przeciwko rowerom i takim środkom lokomocji. Nie wychodzi to ludziom wcale na złe, tak jak ślęczenie nad drukami.

— Czy pan wyrzekł się czytania?

Pan White wyprostował się, spojrział mi w twarz i wyrzekł z odcieniem chępliwości:

— Ja wcale nie umiem czytać, ani pisać!

— Jakto? — zawołałem zdziwiony, nie przypuszczając, że natrafiłem na rzadki w Anglii okaz analfabety. — I ci chłopcy pana nie uczą się czytać?

— Zaprawdę nie — odparł pan White — oni wolą się bawić. A jak można kogoś zmuszać do czegoś, do czego ma wstręt? Gdyby później zapragnęli uczyć się czytania i pisanie, nie będę im tego bronić.

— Świat cały uważa to jednak za konieczność.

— Dlatego jest źle. W raju nie było druków i człowiek czytać nie umiał. Już dlatego samego był to raj.

— A jednak, gdy ktoś panu coś przeczyta z gazety lub książki, słucha pan z zajęciem — zauważyłem z uśmiechem.

— Nie jest to wykluczone — odparł mechanik. — Na razie może mnie to zająć, zaciekawić, lecz wcale mnie to nie zachęca do nauczenia się czytania, jak pan przypuszcza, bo po chwili rozważy uświadamię sobie, że bez tej przeczytanej mi wiadomości, czy tego zdania z książki żyłbym równie dobrze, lub równie źle, i że bez tego mogłem obywać się doskonale.

— Ale gdyby pan nabył zasób wiedzy... — począłem, lecz mechanik przerwał mi żywo i uragownie:

— Zasób wiedzy! powtarzają mi to wszyscy, wy-

tykają mnie palcami jako nieuka, dopóki — jak moi liczni znajomi w tym miasteczku — nie przekonają się, że ów „nieuk” jest przynajmniej tak mądry, jak oni, jeśli nie mądrzejszy... Mam tu towarzysza z lat dziecięcych. Już za młodu lubił książki, czytywał całymi dniami, potem poszedł do Londynu, uczył się Bóg wie czego, pożerał wszelkie mądrości, i dzisiaj jest ów mędrzec... pisarkiem przy boku burmistrza. Nosi wytarte portczyska, wyplamiony surdut i złote okulary na nosie. Zarabia aż 30 szylingów tygodniowo!... — zachichotał z cicha. — Skarży się, źle mu na świecie, zdaje mu się, że na wyspie Jamajcie byłoby mu stokroć lepiej, że tam czeka na niego raj, ale niema zaco tam pojechać, ani dość energii, by zdobyć się na krok stanowczy. Przejęczy swe życie w tym zakątku, nie wiedząc, że tu może być tak dobrze, jak wszędzie indziej, jak na wyspie. Jamajce, jak w raju nawet, jeśli człowiek nie wyssie z druków różnych fałszywych zachcianek i apetytów, jeśli widzi swemi oczyma to, co ma przed oczyma, i czyta nie w książkach, lecz w tem co widzi... Ale cóż? Kto wypatrzył sobie źrenice na książkach, nie umie czytać ani w przyrodzie, ani w człowieku!

— Czyż nie sądzi pan jednak, że wzbogaciwszy umysł pokarmem takim dla duszy... — począłem, ale zagorzały analfabeta, który interpelowany w tej materji już przez wielu, miał swą teorię, przerwał mi znów z ferworem:

— I to już wielokrotnie słyszałem! „Wzbogacenie umysłu!” „Pokarm dla duszy!” Proszę pana to nie wzbogacenie umysłu, tylko jego zubożenie. Czytają najwięcej ci ludzie, którzy sami myśli nie mają w głowie. Zapożyczają się od innych, obrabowują innych, stroją się w obce piórka. Żeby to jeszcze od innych nauczyli się myśleć! Ale gdzież tam! Uczą się w najlepszym razie myśleć głową, a swoją własną wyjała-

wiają do reszty... Rozmawiałem kiedyś z pewnym literatem z Londynu, który mi przyznał, że samoisalnie, „oryginalnie” (jak mówił) myślących i piszących ludzi jest bardzo mało. Zwykli ludzie, t. zn. wykształceni — to maszyny, zautomatyzowane, nakręcone przez innych...

— Czy pan nie zaznał ciekawości dowiedzenia się, co książki mówią ludziom o świecie, wszechświecie, o wszystkim?

— Owszem, napadała mnie nieraz taka ciekawość, umiałem ją wszakże w sobie poskromić, bo, proszę pana, przekonywałem się, że chociaż człowiek nauczył się wiele, zgłębi do dna jakiś przedmiot, ostatecznie nie dotrze do jądra rzeczy i zawsze w końcu drogi staje przed jakąś zagadką. Jeżeli zaś tak, to czyż warto poświęcać na to oczy, mózg, czas, życie? Czyż warto karmić się, by się nie nakarmić, by z niezadowoleniem wstawać od stołu?... Myślałem nad tem nieraz. Książka to nie pokarm, lecz trucizna, nieraz słodka, miła, ponętna może, ale trucizna, odwodząca człowieka od samego siebie, wprowadzająca weń obce pierwiastki, a, co najgorsza wszczepiająca niepokój i niezadowolenie...

— Niepokój!

— Tak, niepokój — zapewnił mnie analfabeta.— Wypytywałem się nieraz owego pisarka z magistratu, o którym panu wspomniałem, o różne kwestje, jakie mnie zajmują. On przecież taki uczony, winien był znaleźć na nie odpowiedź, mózdz mnie pouczyć, oświecić. I cóż się okazało? Okazało się, że umie on wprawdzie mówić o tych kwestjach długo i szeroko gadać jak pozytywka nakręcona, ale nie wie nic zgoła więcej odemnie, jeśli nie mniej. Zamiast nasycić swą żądzę wiedzy, podniecił ją tylko. Sam przyszedł on do przekonania, że im więcej wie, tem więcej wie, że nic nie wie...

Pan White uśmiechnął się do siebie, z poczuciem zadowolenia. Widząc, że naładowuję fajeczkę, sam wydobył fajeczkę z kieszeni pludrów. Zrozumiałem ten manewr właściwie i poczęstowałem go tytoniem. A że załatwił się już z bagatelną naprawą roweru, więc siadł przy mnie, gotów do dalszego wyjaśniania mi wyższości analfabetyzmu.

— Jakiego zagadnienie zaciekawiały pana szczególnie? — spytałem go.

— Był czas, że sondowałem mego przyjaciela o historję tej ziemi. Opowiadał mi on dużo i spamiętałem sobie z tego niejedno. Leczą, proszę pana, któż mi zaręczy, że to nie są bajki? Któż przysiędź może, że za króla Alfreda lub za królowej Elżbiety działo się to, co on opowiadał i tak jak on to opowiadał? Z pewnością każdy historyk i każdy człowiek opowie to inaczej i wiele t. zw. faktów stawi pod znakiem zapytania. A cóż warte sądy i wyroki ludzkie o osobnikach, których nie znaliśmy, nie widzieli nigdy na oczy, nie zrozumieli do głębi duszy? Trzeba być bardzo naiwnym, by historykom wierzyć na słowo. Piszą, co im się wydaje, piszą historję dla dużych dzieci.

— A jednak pana to zajmowało.

— Niewątpliwie. Ale byłoby to zajmowało mnie stokroć więcej, gdyby to było wręcz produktem fantazji, a nie czemś co ma pretensję do prawdy. A cóż to, proszę pana, jest prawda? Pytałem o to już niejednego uczonego człowieka, ale daremnie. Każdy odpowiadał mi co innego. Z tego potoku słów nic rzetelnego wyłowić, ni ulepić nie potrafiłem. Wyniosłem jeno pewność, że nikt tego nie wie. Więc po jakiego diabła wnikać, zagłębiać się w świat ducha, jeżeli ostatecznie wszystko wymyka się z pod istotnego rozpoznania ludzkiego?... Ustawodawcy i ludzie wykształceni wogóle nieustannie posługują się takimi pojęciami jak „prawda”, „występek”, „grzech”, „mi-

łość", „uczciwość" i t. d., ale nie potrafią ich określić całkiem jasno tak, by można na tem rzeczywiście budować. To latające piaski... To wszystko nie zachęca mnie bynajmniej do nauk, do ksiąg. Ja, t. zw. „analfabeta" nie rozpalam swej ciekawości i nie popycham jej w kierunku niewłaściwym, nie pozwalam się przez to odrywać od swej rzeczywistości, teraźniejszości. A przeciw my żyjemy istotnie tylko w teraźniejszości. Chwila bieżąca to życie. Tak jak ta roślina, czy drzewa istnieją w słońcu lub ślocie, pełne zgody z przyrodą i wewnętrznego spokoju. Nie wybieram się, jak mój przyjaciel ani na wyspę Jamajkę, ani gdzie za góry, gdzie mieszka szczęście, nie szarpia mną ambicje, pragnienia, żądze, nie zazdroszczę moźnym niczego. Gdy słońko przygrzewa, leżę sobie na trawie, jak mój bury pies, i mówię: „Nie pragnę niczego". A gdybym wychodził pragnieniami, jak nauczyłyby mnie tego gazeta i książka, poza tą skromną zagrodę i poza dzień dzisiejszy, byłoby to nieszczęściem. Bo byłbym zaraz niezadowolony, jak mój przyjaciel z magistrami. Nawiedziłyby mnie roje najprzeróżniejszych pragnień i życzeń. Mogłoby mnie to podniecić do wielkich wysiłków. A pocóż się spracowywać, zamęczać, jeśli mam to, czego potrzebuję?... Ludzie, co czytają, pracują za wiele mózgiem, i myślą za wiele nie swoją głową, odchodzą od siebie, od dnia powszedniego. Zdaje mi się, jakby rzucali się na fale oceanu i w nim pływali, podczas gdy ja stoję sobie bezpiecznie na lądzie stałym.

Pan White przerwał, zapalił wygastłą fajeczkę i spytał mi się nagle tak, jakby o godzinę:

— Czy może mi pan powiedzieć, jaki jest cel życia naszego?

— W niemałym byłem kłopotcie. Gdy zacząłem mu wyjaśniać swe przekonania zauważył:

— Tak mniejwięcej jak pan, mówią wszyscy.

Z tego jednak wyniosłem pewność, że ludzie nie mają najmniejszego pojęcia, dlaczego przystano ich na świat. A jeżeli tak jest, to pocóż z tego życia robić jakąś szkołę, jakiś manęż? Jeśli to życie jest jakoby tylko jednym dniem, to niewarto gromadzić przez ten dzień ani gór dobytku, ani stodoł wiedzy, gdyż ani jednego ani drugiego nie będę chyba potrzebować w życiu pozagrobowym... Może mi pan coś więcej o tem powiedzieć od naszego clergymana?

Mój analfabeta od negacji nauki i wiedzy, doszedł do czystego agnostycyzmu.

Na czerstwych, puciołowatych jego policzkach zadrgał ironiczny uśmiech.

— Gdyby mi pan solennie zaręczył, że z druków wyczytam jasną, prostą, przekonującą odpowiedź na kwestję, jakim jest cel naszego życia, po jakiego diabła chodzimy po ziemi, palimy fajki, i jeździmy na rowerach, to... może byłoby warto nauczyć się czytać...

Zaśmiał się. Tryumfował, wyzywającem spojrzeniem godząc w zwolennika ksiązek. Tem zdaniem upokarzał on zapewne zawsze i miażdżył inteligentów.

Po chwili powstał, przeciągnął się, jakby dopiero zbudzony ze snu, i rzekł na wpół do siebie:

— Jestem głupi z pewnością! ale nie tak głupi, bym nie miał dość rozumu na dopatrzenie się głupoty innych, czytających druki ludzi... Przyszedłem też do przekonania, że ludzie nie dzielą się na głupich i mądrych, lecz różnią się li tylko istotą i rozmiarami swej głupoty. A jeśli wszyscy ludzie są głupi, wolę już swoją swoistą głupotę nieuka...

Podniosłem się, by ruszyć w dalszą drogę, lecz pan White zatrzymał mnie jeszcze. Począł mi opowiadać, że pewnego razu przybyło do niego trzech pedagogów z Londynu, którzy gwałtem chcieli go przekonać o korzyściach, jakie wyniosłby z umiejęt-

ności czytania i pisania. Ale zawzięty analfabeta zbi-
jał ich argumenty i oparł się pokusie bohatersko.

Był z tego dumny.

— Skąd oni dowiedzieli się o mnie, nie wiem do-
kładnie — bąknął do siebie. — Zapewne pisano o mnie
w gazetach, jak o białym kruku. Czy pan nie czytał
nic o mnie?

— Nie, nic nie czytałem.

— Ale tu, w Alton, mówili panu o mnie z pew-
nością ludzie, co?

— Także nie.

— Nikt panu nie mówił „o panu White, co nie
umie czytać, ani pisać“?

— Nie.

— To pan przychodząc do mnie, nie wiedział, że
jestem analfabeta?! — spytał jeszcze mechanik, zdu-
miony ogromnie i widocznie strapiiony.

Zastanowiło mnie to, niemniej jak to, że za ba-
gatelną fatygę przy rowerze pan White kazał sobie
zapłacić stosunkowo bardzo wiele.

Wyszło szydło z miecha. Teraz było jasnym, że
trzymał się tak kurczowo analfabetyzmu nie mocą
przygotowanych na takie audjencje argumentów, lecz
z tego względu, iż jako jedyny analfabeta w okolicy
zdobył sobie rozgłos niezłe się rentujący, a na tle ab-
solutnego tego nieuctwa swoista pogładowość i oryginalna
teoria jego zapewniły mu renomę szczególnie
mądrego, inteligentnego dziwaka. Gdyby umiał czy-
tać i pisać, nikt nie widziałby w tem nic nadzwyczaj-
nego. A schlebiało mu, że był wyjątkiem, rzadkim
okazem osobnika, którego niejeden oglądał niby małą
pę dziwaczną, by przekonać się, że jest ona mędrszą
od człowieka.

Istotnie był to ciekawy analfabeta — analfabeta
nie z głupoty, lecz z wyrachowania. Z próżności i dla
miłego grosza.

TAJEMNICA WUJA ANDRZEJA

— Cicho bądź! Cicho!... Na miłość boską, Staśku zaprzestań! Już znowu wynalazłeś coś nowego, byle tylko hałasować! Utrapienie!... Czyż nie wiesz, że wuj śpi?! — wołała zaperzona pani Anna stłumionym głosem do wyrostka z odstającymi uszami, który zrobiwszy z tektury trąbkę, sklejoną prymitywnie mąką i wodą, zdradzał wolną, a nieprzymuszoną wolę wypróbowania szlachetnego instrumentu.

Uważając żądanie matki za pogwałcenie swych młodzieńczych praw, Staś skrzywił się szpetnie i zadasany odrzucił:

— Już też mamie co chwila coś zawadzi! Wiecznie z tym wujem!

— Ruszaj sobie na podwórze, jeśli nie możesz zachowywać się cicho. A wuja nie budź! Ani mi się waź!

Jako wyraz protestu ozwał się tubalny ryk papierowej trąbki skrzypiacem „u-hu” i Stach przysnął z pokoju, jak z procy ku straszemu oburzeniu matki, która zatrzepotała rękami, jak spłoszona kura skrzydłami, i poczęła wymyślać nieobecnemu od ostątnich, aż przerwała jej ośmnastoletnia córka:

— Bo prawda, że mama ciągle wujem zajęta, jak noworodkiem, chodzi koło niego, jak koło jaja, by się nie stłukło. Wuj tu wszystkim, my niczem, dla niego najlepsze kąski, dla nas ochłapy. Z powodu wuja ciągle burze, kłótnie...

— Głupia jesteś! — fuknęła pani matka, nie wdając się w replikę i odetchnawszy głęboko, jakby po torturach, zwróciła się do przyjaciółki, która oczekiwała herbaty, czyli obudzenia się owego wuja, będącego istotnie często gościem niezgody w skromnym mieszczańskim domu państwa Wentowiczów.

— Moja droga pani! — poczęła minorowym tonem pani Anna, obfite swe kształty rozpościerając w trzcinowym fotelu, który zaskrzypiał boleśnie pod ciężarem. — Niech pani sama osądzi, co to za głupie dzieciaki. Gdybym ich nie trzymała na wodzy, obrzydziliby żywot memu bratu tak, że wyprowadziłby się, uciekł od nas... Starszy człowiek (dwadzieścia lat starszy odemnie), nie bardzo zdrów... Bóg wie, jak długo pożyje... Trzeba mieć wzgląd na jego zdrowie, nawet wypada nam patrzeć przez palce na pewne drobne starokawalerskie nawyki. Stetryczał trochę, ale...

— Bogaty...

Dzień, w którym pan Andrzej Zawierski sprowadził się z prowincji do domu Wentowiczów i zajął najlepszy pokój mieszkania niższego urzędnika bankowego, był niebywałym świętem rodzinnym. Zdało się, że archanioł zstąpił z niebios z gwiazdką szczęścia i zagrościł w ich niegodnych ścianach, chociaż zaiste pan Andrzej, brzydki, nudny, zgryźliwy stary kawaler nie miał z aniołami zgoła nic wspólnego.

Odrzucał się osiłą rodziny, pan domu spadł o kilka szczebli niżej, utracił coś ze swej ojcowskiej powagi. We wszystkich sprawach odnoszono się głównie do wuja Andrzeja, jako najwyższej instancji i trybunału apelacyjnego, gotowano potrawy, które wuj najwięcej lubił. W jego obecności panował ton uroczysty, atmosfera nasiąkała poważaniem.

Mąż pani Anny nieraz mruzczał, utyskiwał na ten stan rzeczy, lecz jedynie pokątnie. Gdy wuj ukazy-

wał się w progu, milkł i przybierał słodką minę, pomagając żonie w strofowaniu Staśka i poskramianiu Anielki, kandydatki na telefonistkę, która nieraz ośmielała się stawać w opozycji do wuja, wyrażać odmienne zdania, a nawet zdradzała pohopność do sporów. Starszy jej brat Wacek, przebywający wiele po za domem, urządzał się politycznie, bo niezacznie unikał wuja. Nie wchodził do jego pokoju, wiedząc, że wuj nie lubi, by po nim „bobrowano”, całował go w ramię, kwestji spornych nie wszczynał i wszystko, co pan Andrzej robił lub mówił, aprobował milczeniem.

Przyjaciółka pani Anny wiedziała to prawie wszystko, ale skorzystała ze sposobności, aby wniknąć w głąb stosunku pana Andrzeja do rodziny Wentowiczów i dowiedzieć się o „złotym wuju” czegoś bliższego.

— Zapewne brat płaci pani dobrze za mieszkanie i utrzymanie?... — spytała.

— E... — bąknęła pani domu i trochę kwaśna ciągnęła cicho, jakby z obawy, by brat nie słyszał. — Nie można się skarżyć, ale... wymaga albo raczej oczekuje za to nie mało. Jeśli pieczeń się przypali lub Staś za wiele dokazuje...

— Ale prezenciki dla pani, panny Anieli i pana Wacława nagradzają wszystko?...

— O, z pewnością! — rzekła cierpko Anielka. — Grosika nikt z nas nie widział od wuja przez te cztery lata, co tu jest. Prezenty! Nic podobnego! Wiele, że płaci te pięćdziesiąt kilka złotych za wszystko!...

— Proszę cię, Anielciu, nie wygaduj tak, nie zapominaj, że wuj żył się z nami, służy nam radą... Pani Kudelska gotowa pomyśleć, że wuj sknera.

— A cóż, jeśli nie ostatni sknera? Brudny skąpiec, brudny! Więzi pieniądze...

— Fe, Anielciu! Nie zapominaj się! Mówisz nieprawdę, krzywdzisz rodzzonego wuja.

— Ach, dla mamy to wuj świętością! Mając jakie takie pieniądze...

— Toż powinnaś zrozumieć, że my po nim wszystko weźmiemy! — rzekła pani Anna.

— A gdzie to pan Zawierski dorobił się fortuny? — spytała się pani Kudelska.

Na to pani Anna z twarzą jakby słońcem oblaną, przysunęła się tuż do przyjaciółki i uroczystym głosem wycedziła sekret:

— Przez lat trzydzieści i siedem był w komo-
rze...

Wrażenie tych słów było istotnie niemałe.

— Fiu! Na ko - mo - rzel! Musi mieć ładny grosz. A ile też pani sądzi?

— Krociel... Dokładnie trudno oznaczyć, ale krocie. W papierach... Bóg wie, czego on tam nie ma w swych skrzyniach. Widziała je pani?

— Nie.

— Otóż w sypialni swej ma jedną dębową, w żelazo okutą skrzynię, zamkniętą na zamki i kłódkę, a drugą, jeszcze większą i cięższą w sklepie. Prócz tego oczywiście pobiera pensję, jako emeryt.

— Ale musiał pani mówić, ile ma.

— Niechętnie mówi o tem, nie wynosi się nad nikogo. Chodząca skromność i prostota! Gdy się sprwadził, powiedział mnie i mężowi: „W ciągu lat urzędowania zebrało się to i owo. Zostanie po mnie cośkolwiek, może nawet więcej niż cośkolwiek. Dla was to będzie i waszych dzieci wszystko“... Dwa razy powtórzył: „wszystko“, uważa pani. Odtąd odzywa się czasem w tym samym sensie. „Nikogo nie mam z rodziny prócz was“! mówi. Wątpić nie można, że odziedziczymy po nim wszystko. Niech pani teraz powie, czy nie mamy obowiązku uprzyjemnić ostatnie lata takiemu człowiekowi?

— A do hulank pan Zawierski nie był skłonny?

— Nigdy! — odparła entuzjastycznie pani Wentowiczowa. — Nikt mniej od niego. Inny, jeśli nie ma żony, a często chociaż, ma, trwoni pieniądze na gamratki, mamsele lub grę w karty, w totalizatory, a on... Mógłby wszystkim służyć za wzór. Żadnej brzydkiej pasji, żadnej rozrzutności. Przeciwnie, gromadził majątek, jakby z myślą o nas.

— A teraz przez tyle lat — zauważyła Anielka — wuj nigdy nie odezwał się ani słowem, ani nie przyjeżdżał. Zaledwie wiedziałam o jego istnieniu.

— A tu nagle... spada nam jak z nieba! Opatrzność go nam zesłała!

Pani Kudelska westchnęła, zasyłając w tem modlitewnym westchnieniu gorącą prośbę do nieba o takiego złotego wuja, jakby św. Piotr miał wiele takich egzemplarzy na eksport. Ale zauważyła:

— Gdyby pan Zawierski sięgnął zaraz do skrzyń, mąż pani nie potrzebowałby pracować jak wół, panna Anieli jeździłaby po alejach w karakułowym żakiecie...

— Właśnie takiego żakietu było mi bardzo potrzebne! — odparła Anielka. — Przymawiałam się delikatnie wujowi, ale on umie być głuchy, jak pień, twardy jak kamień.

— Nic nie mów Anielciu! Wszystko będzie... Nie trzeba zapominać, że gdy Wacek zdał maturę, mój brat wołał go do swego pokoju (czego nigdy nie robi, nie lubiąc, by mu przegładano kąty), pocałował go w czoło serdecznie i powiada: „wyjdź no do przed-sionka!“ Przez uchylone drzwi Wacek słyszał brzęk kluczy, zgrzyt zawiasów i podnoszonego wieka. Jednakże brat mój przysłał swoją osobą skrzynię, tak, że Wacek nie mógł dostrzec, co kryje się w niej. Dość, że wydobył z niej śliczny kołnierz bobrowy i podarował mu...

— Taki śliczny nie był! — zauważyła Anielka.

— Śliczny, prawdziwy, bobrowy kołnierz... — powtórzyła z naciskiem pani Anna. — Może go pani zobaczyć u Wacka.

Pani Kudelska miała zrobić jakąś uwagę, gdy posłyszano chrząkanie i szelest pantofli. Potem ukazała się we drzwiach baryłkowata postać mężczyzny, zawiniętego w wytłuszczony popielaty szlafrok, niebiesko lamowany i sznurem błękitnym przepasany. Z bladej, nalanej twarzy wyzierało dwoje ciemnych, sowych oczu z pewnem starczem osłupieniem. Rzadkie pasma włosów, zaczesane od lewej strony, usiłowały bezskutecznie przykryć kulistą czaszkę. Włosy i furmańskie wąsiska, źle ufarbowane, przechodziły miejscami w zielonkawo-zgniłą barwę i nie przyczyniały się do upiększenia basałykowej, pospolitością i cygarami cuchnącej figury.

— Herbaty jeszcze niema? — ozwał się dyktatorskim głosem pan Andrzej do siostry.

— Zaraz będzie na stole — odparła pokornie pani Wentowiczowa i wyszła natychmiast do kuchni.

Gdy samowar stanął na stole, pan Andrzej w najlepszym usadowiony krześle, zerknął na Stacha, który przecuciem dziwnem obdarzony znalazł się w pokoju wraz z herbatą, i rzekł:

— Uszy ci trzeba poobrywać za to hałasowanie! A potem zwrócił się do siostry:

— Zanadto mu folgujesz! Dom cały roznieście. Trzymaj go w ryzie. A teraz pošlij go dla mnie po cytrynę. Albo najlepiej zaraz dwie. Leży mi coś w żołądku. Może ten schab?... Potem oddam ci za te cytryny. Nie chce mi się wstawać od stołu.

Anielka spojrzała znacząco na panią Kudelską, jakby chciała jej zwrócić uwagę na manewr wuja, który nieraz po to i owo posyłając, następnie zapominał zwrócić siostrze wyłożone pieniądze. Pani An-

na zaś nie śmiała się upominać przez wzgląd na spa-dek.

Pan Andrzej pił, jadł, o nikogo się nie troszcząc, poczem wyszedł do cukierni, gdzie grywał w szachy aż do kolacji.

Po jego wyjściu pani Anna nie mogła sobie odmówić przyjemności pokazania przyjaciółce tajemniczej skrzyni i wprowadziła ją z dumą do pokoju brata, gdzie ukazał się ich oczom skromnie do ściany przytulony — skarbiec.

Obie kobiety dotknęły się dębowej skrzyni nabożnie, jakby ołtarza, obejrzały ją dookoła ciekawie i próbowały podnieść z boku, przyczem ozwał się głuchy, niepojęty brzęk. Skrzynia była bardzo ciężka, pyłem przysypana, jak zresztą wszystko w obszer-nym, a niegościnnym pokoju.

Obok marnego biurką pod oknem, piętrzyły się obeliski „Kurjerków”, skrupulatnie kolekcjonowanych. Pan Andrzej zajmował się bowiem żywo polityką i gromadził przeczytane gazety, aby, jak mówił, móc w każdej chwili zbadać konstelację polityczną. Jakaś niemiła woń stęchlizny, czy starzyzny, drażniła nozdrza w mrocznym, jakby pajęczyną zasnutym pokoju.

— Taki bogacz, a jak małe ma potrzeby! — podniosła z podziwem pani Anna. — Jakby jaki ekskan-celista. Niktby nie przypuszczał, że mógłby kupić dom cały, jeden i drugi... Odebrał skromne wychowanie, dostatków za młodu nie zaznał, życie pędził w zaciszu i tak to doń przylgło... Dziś oczywiście za stary... Za przykład stawiam go Wackowi. Dzisiejsi ludzie to byle tylko używać za każdą cenę... A on...

Długo jeszcze unosiła się pani Anna nad cnotami opatrnościowego brata. Był to bowiem jeden z najmilszych jej tematów. Mówiąc o bracie promieniała, stawała się wymowną jak Demostenes i mądrą

jak Sokrates. I retoryka jej osiągała oczekiwany cel; przyjaciółki odchodziły z grotem zazdrości w pierśiach.

Tacy Wentowicze! Ordynarne to, pospolite, nikomu nie daliby łyżki strawy, a jakie szczęście mieli z tym wujem! Dopiero będą nosa zadzierali, gdy wuj kopytami trzaśnie! A przecież to za głupie, aby umieć życia używać. Tyle godnych ludzi chodzi po świecie, którzy stokroć więcej zasługują na taki wielki los...

Tymczasem jednak wielki los Wentowiczów nie był zrealizowany.

Atoli na jesieni pan Andrzej zapadł mocno na zdrowiu. Influenza powaliła go na łożo. Pani Anna krzątała się po sypialni chorego z bolesnym wyrazem twarzy, który wszakże pierzchał zaraz za drzwiami, ustępując miejsca słonecznej pogodzie. Oficjalnie modliła się o zdrowie brata, a najskrytszą częścią serca pragnęła, by nieba modłów nie wysłuchały.

Wszystko ją teraz raziło w domu. Trzeszczący fotel trzcinowy był „przedpotopowym,” firanki „okropne,” żakiecik Anielki... „burżuazyjny,” surdut męża „niemożliwy.” Martwiła się, że Stach nie miał bony Francuski, bo chociaż nauczył się po francusku, pytanie, czy będzie miał dobry akcent.

Pewnego dnia pomimo słoty wyszedłszy w aleję Ujazdowską, oglądała frontony kamienic, w sny różowe spowita.

Właśnie tego dnia, gdy wróciła do domu, Anielka powitała ją wiadomością:

- Był doktor...
- I cóż mówił??
- Zapalenie płuc...

Pani Anna posłała niezwłocznie służącą po butelkę madery, którą lubiła bardzo, a pijała tylko raz w rok, w dzień swych imienin. Mąż jej zaś gdy, wró-

ciwszy na obiad, dowiedział się o groźnym stanie „wuja,” odrzuciwszy wszelkie konwenansowe kłamstwa, zatarł dłonie radośnie, zaklął sobie ognisćcie i rzucił:

— Nareszcie wybrniemy z tej biedy!... Zaraz jutro podaję się do dymisji!... Dość tego...

Wyjął z szuflady cygaro w papier zawinięte, które otrzymał od pryncypała i obiecał sobie wypalić po niedzielnym obiedzie. Takie cygara palić teraz będzie codziennie!...

Przestronno zrobiło się na świecie. Pan Wentowicz i Wacek takie mieli miny, jakby pytali, ile kosztuje Warszawa. A pani Anna toczyła z Anielką zacięty spór o to, co modniejsze i dystyngowańsze: sobole czy srebrne lisy. Najgorzej na tem wyszła służąca, na którą pani domu fukała co chwila.

Pan Andrzej borykał się z chorobą dość długo, lecz — uległ. W pośpejny dzień styczniowy zamknął oczy na zawsze.

Z chwilą tą pan Wentowicz odzyskał znowu swe prawa głowy domu. A rządy swe rozpoczął od tego, że nie pozwolił nikomu dorwać się do kluczków, spoczywających pod głowami zmarłego.

Sam własną ręką wydobył je z pod poduszki i, zamknawszy się w pokoju nieboszczyka, w asyście swej małżonki przystąpił jakby do Komunji do „złotej skrzyni”, w której spoczywały barwne, wyhodowane, wypieszczone nadzieje „szczęścia” rodziny.

Wacek, Anielka i Stach stali u drzwi, nadsłuchując i zaglądając przez otwór od klucza, w gorączkowym oczekiwaniu.

Wybiła wielka godzina na zegarze familji Wentowiczów. Serca były w ekstatycznym podnieceniu, w głowach szumiał chaos splątanych pragnień, w oczach bielmem różowem zasnutych dwoiły się, troiły radości życia.

Długo, bardzo długo trwało, nim rozwarły się drzwi sypialni wuja Andrzeja.

Wreszcie stanął w nich pan Wentowicz — bez słowa.

Młodzież rzuciła się na skrzynię.

Nikt jej nie bronił.

Wieczorem służąca opowiadała stróżce:

— Wie pani, co ten stary wyga miał w skrzyniach?... ..Kupę starych zamków i palników do lamp?... Zostawił im dwie skrzynie... To facet!

ZAKAZANA MUZYKA



I.

Nad torem kolejowym, oskrzydającym nadwar-
teńskie miasteczko Wronki, czerwienią się ogromne
plastry muru, skrzyżowane pod prostym kątem, wy-
rastające z serca więziennego gmachu, który kaplicą
i wieżycą ukoronowany, pyszni się ogromem swego
cielska, rzuca w oczy ordynarnością koszarowego
stylu.

Z tych skrzydeł wyzierają cztery rzędy okrato-
wanych okien, po dwadzieścia i jedno w linii—szyb-
mglistych, o szkle karbowanem, niby oczu bielmem
na zawsze zasnutych. Wyniosły się ponad nagi mur
ochronny, potężnym łańcuchem oplatający dookoła
i odcinający od świata pruskie więzienie, ale gapia
się w tępe, głupie osłupieniu.

Patrzą, by nic nie widzieć. Ni odrzewionych pól
i domków dla oficjalistów i dozorców więziennych,
ni cichej miściny na kobiercu zieleni usłanej, ni
ciemnych wstęg lasu, bramujących widnokrąg. A pro-
mienie słońca, niby z łaski muskają mleczne płyty
szklane, nie rozweselając ani nawet przelotnym bla-
skiem wieczystego pomroku cel, śmiertelną nasią-
kłych nudą.

Latem w trójkątach, między skrzydłami gmachu,
zielenią się warzywa. A pod ołowianem, jesiennem

niebem widnieją kopce kartofli. Ziemia skopana, poryta przez legiony myszy, czeka śnieżnego futra z puchów zimowych.

Gdy trzecia wybija na zegarze wieżowym, wysuwa się z paszczy więziennej sznur ludzi na półgodzinny spacer, pod okiem dwóch umundurowanych dozorców. Poczyna się wędrówka kilkudziesięciu milczących figur po deptaku, ogromnym wiankiem przecinającym warzywny ogród. W błękitnawem, niby wypełzłem odzieniu płóciennem, z głowami nakrytymi sukienką, ciemną myką, z rękoma splecionymi na plecach, wloką się te worki, jeden od drugiego w odległości pięciu kroków, niby schwacone koniska na deptaku, z miechem owiniętymi łbami, ogłupiałe, ciemne. Puszczono w bieg jakiś karuzel, więc automatyczne pionki poruszają się w takt, skórzane pantofle młóca chodnik, wszystko kręci się, wiruje ospale. Głowy pochylone, oblicza blade, zagasłe, oczy uśpione, dusze czarną rezygnacją zamroczone.

Ten i ów, młodszy lub świeżo w gościnę tu przyjęty, zamiata nogami chwacko, wznosi jeszcze czerstwe oblicze w górę, szuka wzrokiem wróblí, wron i wierzchołków drzew za murem. Snadź tęskni za tem, co żyje, co rozwija się w słońcu swobody. Czyha, by ukradkiem rzucić poprzedzającemu więźniowi pytanie, zamienić słów kilka, posłyszeć brzmienie ludzkiego głosu. Ale i on niebawem zwiędnie w bezsłonecznej klatce, zacichnie w pustelni, zamrze w pieczarze nięszczęścia, zapadnie się duszą w trumnę, wtopi cały w żółwi bieg czasu i, jak ów czas, powlecze się machinalnie po deptaku za innymi cieniami ludzkimi.

To nie ludzie, lecz jakieś zegarkowe ich parodje, nakręcane i poruszane wołają pana — dozorczy. Poznali najistotniejsze znaczenie takich słów jak ci-

sza, samotność, opuszczenie; zrozumieli, co to znaczy być „zdala od świata” albo „nie być,” bo skoro zapadła za nimi furka więzienna, zwałiło się wieko na ich trumnę, odsunęli się nagle od świata biliony mil, dalej niż podróżnik u bieguna, i stanęli na ostatecznych kresach życia, gdzieś na szlakach kosmicznych, pod drzewem poznania, pod którym zgrzybieli.

Los zepchnął ich społecm ze skały Tarpejskiej w otchłań wyrzutek społeczeństwa, omotał ich pajęczyną pogardy i upodlenia, wtłoczył w kajdany tak, iż spaliły się w nich ómy myśli uskrzydionych, śmiałych, zatarły się cechy indywidualne i człowiek przeobraził się w więźnia, czyli w bryłę ciała zamarłego, w którym mieszka melancholia i pokutują wiedźmy rozpaczy.

Leżą, wloką się, jeden jak drugi cherlaki i zdechlaki w nudnym korowodzie, trupy, szkielety w ślimaczym „danse macabre.” Trudno odróżnić kmiecia, co ukradł korzec żyta, od kantorzysty, co dobrał się do kasy, i pana, co fałszował weksle. Trudno odgadnąć z ruchów postaci, jej rysunku, z rysów zakrzepłej maski coś z przeszłości więźnia, coś z jego dramatu.

Każdy tu jest tylko numerem. Nie numerem, jaki wyznaczyło mu w przedwieziennem życiu stanowisko, wykształcenie, skala kulturalnego rozwoju, lecz numerem, wypisanym na celi, pod który podobą się wrzucić go dozorczy. Na świecie wszystko bodaj zależy od tego, do jakiego skrzydła, do jakiej sekcji wcieliło człowieka przeznaczenie, w jakiej jego ja zamknięto komorze. A w tym grobie dla żywych wszystko jedno.

Wyłupiaste, ospałe ślepie opastych dozorców patrzą na uruchomione numery, jako na workowate manekiny, które muszą teraz kręcić się wkółko, bo tak nakazuje regulamin. Zadowoleni z porządku rzeczy, który podoficerskie ich żołądki pozwala zapy-

chać codziennie czubatemi miskami kartofli, dostojni ci panowie o pucułowatych obliczach, mniej lub więcej czerwonych nosach, stoją na przeciwległych krańcach wirującego koła, na wzór figur woskowych, w ciemno granatowych uniformach ze świecącymi guzikami, z nieodstępными pałaszami przy boku i przewieszonymi przez piersi rewolwerami w futerałach.

Za węglem skrzydła więziennego znajduje się guzik dzwonka elektrycznego. Więc w razie, gdyby kto zrozpaczony miał targnąć się na dostojnego baśalyka, próbował ucieczki przez beznadziejny mur, a kula zawiodła i pałasz nie sięgnął, zaalarmowanoby cały oddział służby. Lecz niema obawy. Nikt jeszcze nie zbiegł z tego wzorowego przybytku cierpienia, zbudowanego według najlepszego, pruskiego systemu dręczenia bliźnich. Niewolnicza uległość bezsilnych zabitych moralne, cechuje tych ludzi i ujawnia się już w złamanych postaciach, które idą, jakby pragnęły zapaść się w ziemię.

Budzi ich z uspienia jeden z dozorców. — **Achtung!** Bacność!

Gromki głos odbija się o mury, czapki znikają z głów automatów.

Ukazał się wyższy urzędnik. Wyszedł na inspekcję. Przystaje opodal deptaka i, sam nie wiedząc czemu gapi się na defilujące worki błękitnawe.

Pisarz więzienny. Młody człowiek o polskim nazwisku, ujmującej powierzchowności. Przyszedł ot tak sobie, by przerwać monotonię biurowego zajęcia i na chwilę wyobrazić sobie, że jest, co najmniej, kapitanem.

Kiwnął łaskawie ręką, czupryny nakrywają się czapkami. Postoi trochę i pójdzie.

Nie. Na twarz jego występuje miły wyraz, wy-

chodzi wzrokiem naprzeciwko jednego z więźniów. Przywołuje go gestem ręki.

Wysoki, zgrabny człowiek trzydziestokilkoletni staje przed nim w postawie żołnierskiej.

— *Na, wie geht's Ihnen, Sadłowski?* — pyta uprzejmie pisarz.

Na to więzień wykonywa ręką gest, mówiący. „Sam nie wiem... Ot, nie zdechłem jeszcze“. Wreszcie odzywa się z doskonałą obojętnością:

— Tak... jako tako.

— Czy pan grał kiedy „Air de ballet“ Beriot'a?

Twarz muzyka ożywia, się jakby ktoś dotknął w nim tajnej elektrycznej baterji i rozświetlił świat jego ducha.

— Owszem, grywałem tę sztukę.

— *Schoen, wunderbar schoen!* — unosi się pisarz, który wieczorem z zapałem rzępoli na skrzypkach. — Chciałbym słyszeć, jak pan to gra. Bardzo ładna sztuka, ale trudna... Te flazolety! Czy pan to grywał na estradzie?

— Tak jest.

— I koncerty Spohr'a i Chacone Bacha i Nokturny Chopina?

— Tak jest.

— Musi pan grać doskonale! — wzdycha pisarz, kręcąc głową i myśląc sobie, jakby to było pięknie, gdyby mógł wziąć od niego kilka lekcji, dowiedzieć się, jak grają się te przeklęte flazolety.

— Gdzie pan grywał ostatnimi czasy z swym kwintetem?

— W Berlinie, w wielkiem etablissement...

— A czemu aresztowano pana właśnie w Poznaniu?

— Bo przybyłem tam... w interesach.

Chcąc zrobić przyjemność skrzypkom, dla którego żywi sympatję i uwielbienie, pisarz odzywa się:

— Niedługo będzie pan miał miłego wizytatora...
Dziś przyszedł list od pańskiej żony z Berlina. Zapytuje czy i kiedy można pana odwiedzić. Odpisałem jej zaraz, że raz na miesiąc przez pół godziny może widzieć się z panem w mównicy.

Coś, jakby przerażenie zapala się w źrenicach Sadłowskiego i gaśnie. Twarz martwieje.

— No, jak długo jeszcze? — pyta pisarz.

— Czternaście miesięcy.

— To pan dopiero dziesięć odsiedział miesiąc!... No, przejdzie jakoś i ta reszta. Niech pan wróci do szeregu!

Więzień wykonywa zwrot i wstępuje w szereg spacerujących, a w tem miejscu dalsze ogniwa łańcucha rozsuwają się niezwłocznie, by przepisowi stało się zadość i należyta przestrzeń dzieliła więźniów.

Numer 426 był przez chwilę Wiktorem Sadłowskim.

II.

Przy stoliku, przymocowanym hakami do otynkowanej ściany, kurczył się Sadłowski nad pliką papierów, powycinanych na koperty. W środku arkusza umieszczał blaszany czworokąt, zawijał na niego różkiem kościanym brzegi papieru, poczem, wysunawszy płytę, odkładał kopertę, czekającą jeszcze tylko gumy arabskiej, na stos spiętrzonych zwitków pod ścianą. Gdy tak pozwijał jedną plikę, sięgał po drugą i znów delikatne ręce o długich palcach, znamionujące artystę, migały szybko i sprawnie w maszynowej robocie.

Wlokły się minuty, kwadranse, godziny.

Nic nie zakłócało cmentarnej ciszy wśród bardzo wysokich ścian, nakrytych sklepieniem o żelaznych sztabach. Górna część okna, umieszczonego na

wysokości, niedosiętej prawie głową rosnącego mężczyzny, była przez pół uchylona i jak kłapa wspierała się na podporach, otwierając nieco przystępu dla powietrza, skąpo sączącego się do celi.

Panował w niej wieczysty półmrok; nawet jaśniejsze słońce nie płoszyło szarej godziny z klatki, pięć kroków długiej, dwa kroki szerokiej.

Więzień miał mgliste wrażenie, że zapadł się w jakąś mroczną bezdeń ciszy, gdzieś po za światy znane, gdzie życie pulsuje tylko nikłym, przedzgonnym tętnem, że leży u pałacowych progów Śmierci.

Z tego pałacu wypłynęła na świat blada śmierci siostrzyca: cisza majestatyczna i zagościła w celach więziennych, by chłodną dłonią uśmierzać gorączkę pod czaszkami skazańców, kłaść im na znękaną duszę księżycowe blaski pokoju, szeptać o kresach mąk, o znikomości wszechrzeczy.

W uścisku ciszy więzień zastęgał, pograżał się w topieli bezmyślności, beczucia, roztopiał się na atomy, rozlewał w nicość.

Dopiero w celi pustelnej odkrył Sadłowski istnienie ciszy, zdumiał się, jak nad zjawiskiem fenomenalnym i zniechęcił ją więcej od śmierci, całą potęgą kochanka tonów i dźwięków.

Lecz dnia tego zapomniał o obecności ciszy, bo rozmowa z pisarzem krótka, banalna a przecież w bytowaniu więźnia będąca niezwykłym, ogromnym zdarzeniem — rozpętała zacichłą duszę, rozbudziła najczulszą jej strunę.

Na dźwięk imion Bacha, Chopina ocknął się do istnienia duchowego, dzwignął z barłogu bezmyślności i wzleciał w ukochany świat muzyki. Jak smugi wyróżzonych w brzasku oparów, płynęły przez jego duszę fale muzyki, w których drgały wszystkie kamertony uczuć, grała cała symfonia rdzennego życia ludzkiego.

Zmartwychwstał. Twarz jego owalna, subtelnie modelowana, z wydatną szczęką dolną i czołem myślącym, twarz artysty nerwowego i uporczywego, jaśniała, jakby obłana blaskiem tysiąca kinkietów. Na moment wypuścił rozek, ręce zdrząły mu febrycznie; chciał w ekstazie radosnej przycisnąć skrzypki do piersi, wygrać coś z tego, co grało mu w duszy, wyrzucić z siebie coś z nagromadzonych myśli muzycznych, bólów, jęków, utęsknień. Chciał uzeńtrznąć coś z życia swej duszy, która, wbrew wszystkiemu, wołała w niebogłosość: jestem!

Niejednokrotnie dusza muzyka buntowała się przeciwko ciszy i rozbrzmiewała, jak sala koncertowa. W nieustannej fluktuacji stanów duchowych, po okresach ogromnej depresji, lodowatej martwoty następowała naturalna reakcja i duch, jak feniks z popiołów, strzelał pod obłoki radosną fanfara. Więzień tracił wtedy świadomość fizycznego bytu, ciała, kaźni i sromu i, w napięciu wszystkich strun duchowych, stawał się akordem przeczystym. Wokoło niego panowało cmentarne milczenie a w nim grzmiały koncerty, festiwale świetne.

Nigdy Sadłowski nie czuł się więcej artystą, niż w więzieniu. Skazany na istnienie z samym sobą, musiał sięgnąć do trzewi duszy, odgrzebać ją, oczyścić, wycacypować się z małostek, przewartościować wiele wartości i tak stworzyć sobie nowy świat do nowego życia. Bo inaczej, zgoła inaczej, przedstawia się bytowanie na pustyni, w kajdanach.

Czysty, skupiony, namaszczony, kapłański wstępował na kryształowe wyżyny sztuki. Spotęgowana wrażliwością zgłębił wiele pasażów, momentów muzycznych i całych utworów, które, jak dostrzegł, były dlań dotąd niezrozumiałe. Odnalazł błędy w swej interpretacji, wcielił się w twórczość wielkich mistrzów, wspinał się za nimi na szlaki wielkich du-

chów. Dojrzewał i mężniał w nim artysta, budził się twórca, z swej harfy wydobywający własne wyrazy dla swych nastrojów. Muzyka stała się przystanią rozbitka, pocieszycielką załzawionego serca, ucieczką przed cierpieniami kaźni, kościołem, pełnym boga, w którym modlił się — wzniesiony ponad prochy ziemskie, obmyty z małostek światowych, święty.

W fale rozspiewanej duszy wkradał się teraz dysonans.

— Flora przyjedzie... przyjedzie — powtarzały usta, lecz dźwięk muskał zaledwie powierzchnię świadomości.

Nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tych słów, nie widział przed sobą żony, nie rozumiał nawet, że pod tem imieniem kryje się jego szalenie kochana kobieta. Zapowiedziany jej przyjazd wydał się czemś, jakby zgoła problematycznym.

W więzieniu tak dalece nic się nie dzieje, że skazaniec odnosi się wogóle sceptycznie do zdarzeń zapowiedzianych. Natomiast lada fakt dokonany olbrzymieje, więc niespodziana rewizja celi, przygodna rozmowa na przechadzce, wiadomość o jakim współwięźniu lub znajomym, wywiera silne wrażenie, stanowiąc pokarm do przeżuwania dla wygłodzonego umysłu. A nieoczekiwany widok barwnego kwiatka narzuca się oczom, zaspokajając nękający głód wrażeń optycznych.

Flora!?... Znał kiedyś, całował, pieścił kobietę tego imienia. Wszelako dziesięć miesięcy, strawionych po za ramami świata, w toni niebytu, pokryło pleśnią łań wspomnień, zatarało kontury rzeczy dalekich. Przeszłość cała wydała się złudzeniem, której realności nie mógłby poręczyć. Całe życie było bodaj jakimś snem przykrym; tylko terażniejszość była realną, tylko świat jego duchowy istniał z pewnością,

tylko te mury więzienne, o które jak ptak bił skrzydłami, były nieubłaganą, straszną prawdą.

Flora!... Imię to zakłócało harmonię fal muzycznych, przelatywało jak tajfun, od którego zawrotne wiry szły w głębiny wód, siejąc na dnie niepokój. A potem znowu grało morze, w niebo zapatrzone, majestatyczne.

W rozlewnych tonach muzyki wyczuwał najistotniejszą treść życia ludzkiego, przez nie żył pospołu z światem, przez nie realizował bytowanie, uświadomione zarówno jako tajemnicze, ezoteryczne, nieśmiertelne.

Z czoła więźnia biło jeszcze światło, gdy klucz zgrzytnął w opancerzonych drzwiach i pojawił się dozorca stacyjny, by zawiesić zapaloną latarkę nad stolikiem pracującego, a po nim wszedł „majster”, kontrolujący pracę więźniów.

Człowieczyna w cywilnem ubraniu, w czapce dozorczy, przeliczył stopy pozwijanych kopert, zapisał w książeczce, by w kancelarji zesumowano pracę i obliczono więźniowi fenigowy zarobek, wypłacalny przy wyjściu z więzienia.

Przez pierwsze sześć miesięcy Sadłowski wyplatał artystyczną ręką krzesła i koszyki, a niebawem od zwijania kopert miał przejść do szycia pantofli, do nieustannego klekotania na maszynie, by wreszcie, na przeciąg ostatnich miesięcy, dostać się do kancelarji więziennej w charakterze pisarza.

Krótko po wyjściu majstra zegar na wieży wybił wpół do siódmej i na galerji skrzydła, otwartego wewnątrz na przestrzał, rozpoczął się łoskot otwieranych drzwi, który zbliżał się do celi 426.

Sadłowski zdjął blaszaną miskę emaliowaną ze szafki, wiszącej na ścianie obok stołu, gdy u progu stanął dozorca, a przy nim dwóch więźniów, dźwigających potężny kocioł mosiężny. Jeden z nich włą

kopyścią do misy porcję kaszy, drugi podał więźniowi kawał chleba, zaczem drzwi zapadły szybko.

Przed siódmą raz jeszcze się rozwarły drzwi jego celi. Sadłowski wystawił latarkę, zamknąwszy przedtem okno i spuściwszy na asfaltowaną, czarną, woskowaną podłogę łóżko, które przez dzień zawieszane było plackiem na ścianie.

W skrzydle więziennem rozdźwięczały się trzy uroczyste uderzenia dzwonu, obwieszczając koniec dnia niewoli.

III.

Cela tonęła w kirach nocy.

Sadłowski leżąc na tapczanie, słomą wymoszczonym, zwinął się w kłębek pod derką, bo zimno chwytало go za nogi.

Gdy zagrzał się, sen jeszcze nie kleił powiek rozbudzonego, rozstrojonego skazańca, pod którego czaszką wrzały reminiscencje z lipskiego Gewandhaus'u.

Zamilkły wreszcie, lecz po pauzie ozwały się w nim jego skrzypki i ujrzał radosny obraz.

Estrada, oskrzydłona bujnymi krzewami, panująca nad świetnym, rześście oświetlonym ogrodem. Bogate toalety dam mieszają się z angielskimi kostjumami złotej młodzięzy i mundurami dragonów i ułanów gwardji. Na stołach, przystrojonych w kwiaty, srebrzą się ceberki z butelkami wina, bo w ciepłe wieczory ściąga tu towarzystwo ze sfery „wyższych dziesięciu tysięcy,” ostentacyjnie i niesmacznie szykowne, niby swobodne, a po wojskowemu wytresowane, błyszczące ogniem fałszywej świetności. Ściąga tu gromadnie, by posłyszeć modnego skrzypka kameralnego, „den huebschen Wiktor.”

Dzięki „ognistemu skrzypkowi” ogród stał się

istnem rendez-vous berlińskiego świata, który się nie nudzi. Nie ulega to wątpliwości. Skoro bowiem Sądowski bierze do rąk skrzypki, przycichają rozmowy, zwracają się twarze ku estradzie, spojrzenia rozświetlone ogarniają wysmukłą postać grajka z wygoloną twarzą, ciemnymi włosami, zahaczającymi się o uszy. Oczy kobiet oplatają go nieraz rubinowymi powojami spojrzeń wonnych, piezczą mu lica, całują usta, nęcą w syrenie wody.

Zdarza się niekiedy, iż dama, lub elegancka donna z półświatka, wychodząc, opuszcza ramię towarzysza, zbliża się do estrady z zalotnem wejrzaniem i pyta:

— Cóż to pan grał takiego?

Następują komplementy. Między grajkami a słuchaczami nawiązują się nici sympatji. Nieraz odbiera bilecik miłosny lub zaproszenie na wieczór, z którego snadnie może wyklucić się romansik. „Ładny Wiktor” nie potrzebuje wyciągać ręki po kobietę: spada ją mu same na łono, jak dojrzałe owoce.

Więc nie ceni ich, nie kocha nawet przystojnej pani kapitanowej, która prawie co wieczór przybywa na jego koncerty i patrzy nań jak w tęczę. W nagrodę grywa czasem ulubioną jej pieśń Schumanna: „Ich grolle nicht” i czyta w żrenicach Emmy zachwyty, miłość i odbłyśki swego nastroju.

A czemu jednak ta kobieta, pod każdym względem wytworna, urocza, oddana, nie odnalazła klucza do posad jego serca? Nie potrafiła natchnąć go równą dla siebie miłością!... Szkoda!

W pewien wieczór niezapomniany, feralny, Sądowski gra serenadę włoską: *Musica prohibita*.

W czerni pustelniczej celi skazańca spływają teraz akordy tej melodji, porywające wichrem namiętności, palące żarem południowego nieba, tchnące u-

tesknieniem Rómea, obiecujące Julecie ocean rozkoszy i targają struny sercowe więźnia.

W ogniu trubadurowej tej muzyki Wiktor chwytając głowę oburącz, jęczy rozpaczliwie, bo z serenadą tą skojarzył w duszy portret kobiety, którą ujrzał po raz pierwszy, grając ten utwór.

Dla każdej niemal kobiety, która w życiu jego odegrała pewną rolę, ma on w skarbcu wspomnień wyraz muzyczny. Na wspomnienie Emmy, przeciągając przez duszę tony pieśni Schumanna i na odwrót, jeśli postyszy lub gra tę sztukę, ma na sercu specyficzną woń jej osobowości.

A „Zakazana muzyka” to — Flora.

Pisarz mówił mu o żonie i skutkiem tego w rozśpiewanej duszy powstała włoska melodia która wskrzesiła postać Flory, jak żywą. I teraz dopiero ma absolutną pewność, że ona istnieje i pojmuje narzeczcie co znaczą dwa te proste słowa: „Flora przyjedzie.”

Ujrzał ją na tle tej wulkanicznej muzyki.

W ciągu pierwszej części programu nie zauważył, że trzy osoby zajęły stolik tuż opodal estrady. Grając, odwrócił się twarzą w przeciwną stronę i nie spostrzegł odrazu uderzająco pięknej blondyny, która, jakby dla uwypuklenia wykwiśniętej urody z pomocą krzyczącego *repousoir'u*, zajęła miejsce między okazową parą, niby z galerji typów małomieszczanek czy dzielnicowych przeniesioną. Otyły jegomość z swą magnifiką mogli pochodzić z Kozichłtów lub Ryczywoła.

Jejmość, jakby cuchnąca wyziewami kuchni, w stroju do krynolinowej epoki zbliżonym, spłotła pracowite ręce na brzuchu, przysiadła potulnie na krzesło, niby na ceremonialnej wizycie lub „plotkarskiej kawie” u pani pastorowej. Anachroniczny kapelus, odświeżony błękitną wstążką, osłania twarz, kiedyś

może niebrzydka, na której osiadł wyraz bezmyślności, zastępujący w braku czego innego godność. O! Niechaj żaden pan lajtnant nie sądzi, że ona nie umie znaleźć się jak należy w dystyngowanym ogrodzie publicznym! Zesznurowała przecież usta, nie porusza się gwałtownie, mówi przyciszonym głosem, a do kawy nie bierze więcej nad dwa kawałki cukru.

Natomiast małżonek jej, w głębi nie mniej od niej krępowany poczuciem intruza, maskuje zażenowanie wręcz odmiennie: tanią, knajpiarską swobodą koleżki, typowego „Bierbruder'a.” Nos, kompromitująco zarumieniony, świadczy z beczelną prawdowością o skłonności do kieliszka.

Wsunął prawicę w kieszeń tandetnych spodni, odstąpił mocno kraciatą i trochę wyplamioną kamizelę, na której rozwieliżnia się nikłowy łańcuszek od zegarka. Niciane rękawiczki złożył na stole gięstem bankiera z prowincjonalnej sceny. Otarł spótniałe czoło, chcąc pochwalić się czystą chustką do nosa. Poprawił różowy krawat, pięknie zawiązany łąpkami rozpieszczonej jedynaczki i odchrząknął basowo raz i drugi, jakby zwracając na siebie uwagę i mówiąc: „otóż jestem!”

W tych ramach bieli się nieprawdopodobne stworzenie. Pannica dobrego wzrostu, nie chuda, ukształtowana harmonijnie, a jednak filigranowa, eteryczna w nieskazitelnej białości pulchnych lic, o ruchach pełnych dziewiczego wdzięku, łekliwych, flegmatycznych. Z migdałowych jej oczu lazurowych, przezręczystych a szklanych, niby ze snu cichego zbudzonych, spływają księżycowe blaski z olimpijską obójnością.

Wszystko, co ma na sobie, jest nietylko kosztowne ale w najlepszym guście, tak, iż mogłaby służyć za wzór niemieckim damom. Cienkie buciki wyziera ją z pod dobrze skrojonych muślinów sukni. Na haf-

tach stanika, na dziewiczych piersiach rozkwita wspinała róża „La France”. Korona róż wieńczy modny kapelus z delikatnej słomy. A brylantowe butony, jak błędne ogniki, lśnią w muszelkach uszu, wtulonych w bujne, lniane włosy.

Jeden z oficerów, siedzących opodal, nie spuszczaając z niej oka, charakteryzuje ją jednym słowem: Bonbon...

Ojciec pije piwo, matka kawę, córka je lody, delikatnie drapiąc je łyżeczką i wsuwając ją leniwym ruchem między dwa rzędy bieluteńkich ząbków. Ona jedna z tej trójki czuje się tu na swoim miejscu, w odpowiedniej atmosferze.

Co sprowadziło tę parę przybłądów z przedmieścia do głośnego z wygórowanych cen i elegancji etablissement? Jakim cudem z dwojga takich mieszczuchów knajpiarsko - restauracyjnych wynikł taki kwiat biały, pachnący kulturą salonową?

Sadłowski gra nie bez pewnej pozy estradowej, ale z ogromnym temperamentem, elektryzuje słuchaczy, unosi ich po nad kielichy wina i wypomadowane głowy. Nawet w kryształowych żrenicach Flory błyszczą iskierka.

W tym momencie skrzypek odwraca się nieco, wzrok jego pada mimochodem na zjawiskową białą kobietę i zachwyt rozprzegający spływa przez niego strumieniem egzotycznej, cudownej radości. By nie rzucić skrzypek, nie oślepnąć, nie paść do nóg jej w ekstazie, przysłania oczy powiekami, skupia się, gra, zaprzepaszczając się cały w gorące akordy.

Zgrzytnęły struny w namiętym okrzyku, stargały się tony, wbiły rozgwarem żąd rozpętanych. Drugie skrzypki wzmacniają burzę, wionolczela łka nutą rozmodlonej żałości, błaga:

Vorrei bacciar i tue capelli yeri
Lelabbra tue gli ochi tuoi severi

Vorrei morir per te, angel di Dio
O bella Imamorata! O tesor mio!...

Lecą, lecą dźwięki serca, tęskniące miłością torturowanego, rzucają w tłum ludzi, w manężu życia na jedną modłę wyszkolonych, wyziębłych, oschłych, echa romantycznej epoki, osłaniają przed nimi szczytowe krainy uczuć niekrępowanych, wulkanicznych.

Po zamroczonej twarzy skrzypka czarodziejskiego błakają się światłocienie łuny. Na moment świat cały stopił się w muzykę płomienną i płonie na stosie ofiarnym, przed najpotężniejszym czynnikiem w ewolucji świata, przed mistrzynią życia: Miłością.

Salwy oklasków. Głośnie: „brawo!... brawo!...“ Kwiaty, bukietki padają do nóg ulubionego grajka, który z lekkim uśmiechem rozkoszy na ustach budzi się do świadomego istnienia, kłania się na wsze strony mechanicznie, mając w duszy wrażenie, iż na tle tej muzyki, we śnie trubadura, ujrzał niezapomnianą kameleję, świeżo z cieplarni wyrwaną, czy też alpejską szarotkę, poczętą wśród śniegów dziewiczości.

A „angel di Dio“ klaska rączkami w duńskich rękawiczkach i, w mniemaniu, że tak „szyk“ zaleca, ciska mu różę od stanika.

Grajek podnosi ją, wyróżnia i, usiadłszy wreszcie na krześle, muska różą swe gorące lica, jakby ją całował. Upojony radosnem drżeniem w piersi czepia się wzrokiem białej kobiety, raduje jej uśmiechem zachwytu.

— *Ganz fabelhaft, auf Ehr!* — wzbija się po nad gwar wykrzyknik rozentuzjzmowanego lajtnanta.

Ba! Nawet państwo „Zametzky“ zdradzają nadzwyczajne ożywienie. Na prośbę rozpieszczonej jedynaczki przyszli z nią na koncert, opuścili zadymione pokoje swej charlottenburskiej podrzędnej restauracji i nie żałują. Pan Józef będzie miał wiele do

opowiadania swym zwykłym gościom - urzędnikom kolejowym niższej dykasterji. Polak w Berlinie urodzony, nie tyle zniemczony ile bardzo ograniczony i zatopiony w piwie codziennego bytowania wyżej uszu, raduje się sukcesem rodaka. W bezmyślnej beczulce ocknęło się coś z dumy narodowej i mówi do córki po niemiecku:

— Flora! Ten ci gra, co?... I to Polak!

Ta okoliczność, że skrzypek jest Polakiem, nie wpływa na podniesienie skali zachwytu panny Flory, która nie czuje się niczem innym, okrom Berlinianki. Jednakże uśmiecha się zdawkowo do swego „lieben Papachen“ i pospołu z matką, niemieckiego rodu, pochyla wychwalać muzyka.

Nie imponowało jej tyle doskonałe wykonanie, ile zamaszyste arabeski smyczka, a głównie oklaski, bukietki i nieklamany entuzjazm słuchaczy. A może jeszcze więcej wytworna powierzchowność artysty.

U panny Flory mężczyzna zaczyna się od eleganta, smak artystyczny od ładnego krawata, dobre wzięcie od fircykowatej dziarskości, maniery pańskie od oficerskiego tonu z góry, sukces od oklasków i pieśniędzy.

Wiktor nie wiedział tego wówczas, a jednak w jednej chwili — w tej mistycznej chwili błyskawicznego poczęcia miłości — dzięki ogromnej swej intuicji odgadł całą jej fizjognomję duchową, wytworzył sobie instynktownie skończenie doskonałą koncepcję jej istoty, posłyszał wszystkie kamertonny jej duszyczki.

Było to jakby nietylko postać Flory, lecz promieniami roentgenowskimi przeświecona jej istota odbiła się na arcywrażliwej płycie jego duszy, chociaż minęły lata, nim odcyfrował, wywołał w granice świadomości tę fotografię. W toku pożycia małżeńskiego odkrywał jeden rys charakterystyczny po drugim, lecz ani jedno z tych odkryć nie było dlań niespo-

spodzianką; wszystko to odnajdywał na owej błyskawicznej fotografii, zdjętej między jednym a drugim taktem „Zakazanej muzyki”.

IV.

„Dziwne, dziwne... — szeptał muzyk, spoczywający na tapczanie więziennym, na kwiatkach i cierniach wspomnień, na dnie analitycznych rozmyślań...

„Jedna droga — rozważał — wie dzie wszystkich w wiry miłości. Wie dzie ich przez wyróżnienie, podziw, zachwyt do żądzy posiadania. Cała różnica w genezie uczucia tego polega — nieraz u tych samych osobników w różnych okresach życia — na tem, z jaką szybkością i dynamicznym napięciem odbywa się ten proces w ustroju nerwowym. Rozgrywa się z błyskawiczną szybkością, — „comme un coup de foudre” — u wrażliwych młokosów, ale bez napięcia i przechodzi, jak nawałnica. Natomiast u ludzi dojrzałych o wysokiej kulturze duszy, wstrząsa jej posadami, daje im zarówno zachwyty młodości jak wonny kwiat pełni życia — za wysoką cenę.

„Lecz czemuż pokochałem Florę? Czemu musiałem ją pokochać? Jak mógł człowiek, uduchowiony, wrażliwy, płomienny stracić serce i głowę dla lalki, uosabiającej beczucie i lekkomyślność? Czemu wogóle ktoś zakochuje się w tej, a nie innej osobie i w tym, a nie innym momencie?...

„Wieczysta zagadka tak głęboka, jak tajemnica bytu, tak nierozwiązalna, jak zagadnienia czemu istniejemy, cierpimy.

„Może w momencie przypływu i spiętrzenia tych fal uczuciowych, stojąc sam na jednym biegunie, na wulkanie, wyciągnąłem zwycięskie ramiona na krańce świata uczuć, chcąc w zdobywczej męskości Don Juana i zarazem Don Quichote'a opanować wszystko,

postawić napoleońską stopę na drugim biegunie, na lodowcu.

„Bo wszystko, wszystko w niej wyczułem...

„Cukierkowa słodycz jej buzi nie zdała mi się od blaskiem serca, lecz przejawem pospolitego serduszka. Łagodność, wynurzająca się z miękkich rysów i gestów powłóczystych, nie zwiódła mnie jako wyraz do brci, co koi rany, dźwiga ducha z upadku i wytrzymuje ogniowe próby.

„Prawidłowy, harmonijny rysunek jej postaci nie sugerstjonował mi silnego rusztowania charakteru; z wzięcia jej, ruchów jej spokojnych, skończenie poprawnych, zaczerpnąłem przekonanie, że jest w zupełnej zgodzie z kodeksem zdawkowych, konwencjonalnych pojęć i poczytuje go za biblję.

„Była czysta. To znaczy: myła się starannie, unikała wszelakiego brudu, chcąc być bez skazy w oczach zarówno obłudnych sąsiadów jak własnych, lecz oczy jej ślizgały się jeno po powierzchni rzeczy. Nie przeszkadzało jej to mieć kochanka.

„Przeczułem, że elegancki, bogaty kawaler zdobył ją nie brutalnem: „sic volo sic jubeo”, nie wprost rzuconą sakiewką, lecz ujął ją, jak ptaszynę, delikatnie, przez paryskie rękawiczki, zarzucił dziecko cukierkami pochlebstw, oprawił minjaturę w złote ramki.

„Nie miała zmysłów. Wiedziałem jakąś cząstką umysłu, że najwięcej zapalony kochanek nie wykrzesze z niej trwałego ognia miłosnego, że nikt na niewoli zmysłów nie zdoła oprzeć tu szczęścia małżeńskiego.

„W ślicznej główce tej krył się mózg ptasi, piętrzyły się stosy trocin i plewów brukowego bytowania gnieździły się małe troski, małe radości, tysiączne małości. Więc wiedziałem, że nie znajdę w niej ani trochę wrażliwości artystycznej, ani przebłysku zrozumienia dla mej muzy, ani jednego sympatycznego od-

dźwięku mej duszy, ani jednego odruchu temperamentu, ani jednej myśli uskrzydłonej — ani żdźbła duszy.

„Jednym słowem była to kukielka, pieszczonego bezwiednie na dnie mej istoty ideału kobiety, kanarkowe cacko, które przecież miało wymarzone przeze mnie kontury i pozory. A już pozory te napawały mnie zachwytem takim, że głuchy na głos mądrej intuicji i ostrzegawczego rozsądku, którego nic, nawet miłość, zabić we mnie nie może, rzuciłem się za nie na oślep z zapamiętaniem oszalałego Orlanda.

„Urodzony fantasta, romantyk, szaleniec, pnąc się przez szereg lat mozolnie w górę, żyjąc pod znakiem ambicji, trzymał się w ryzach, aby, stanawszy u zenitu pragnień, skoczyć z otwartymi oczyma w otchłań miłości beznadziejnej...

„Beznadziejnej, bo skoro przeszyłem ją na wyłot spojrzeniem, jednocześnie miałem pewność, że przyjdzie mi zakrwawić sobie dłonie o cierniste opłotki duszyczki nikłej, jęczeć pod lodowatym tchnieniem jej pustki sercowej, rozbijając sobie głowę o skałę niemości.

„Byłem świadom tego, że robię głupstwo, największe głupstwo w życiu, rozpalając ognie miłości bezkresnej u stóp statui z lodu, że — grozi mi zagłada...

„A jednak chciałem...

„Przyroda folgowała fantazji sowizdrzała, gdy lepiąc z pospolitej gliny lalkę, nacechowała ją znamionami kobiety, sugestywnie coś, co nie istnieje. Jest to, jakby ktoś pokładł punkty nad i, a zapomniał pod nimi poumieszczać głoski same, i nad punktami wypisał szumnie: „to jest i”.

„Zdemaskowałem figiel przyrody, a jednak uparłem się, by wbrew jasnowidzeniu uważać pozory za

rzecz samą, otumanić się, upić złudzeniem, by gwałtem zrobić głupstwo...

„Nic niema tak przejrzyste głupiego, jak utarte ludzkie pojęcia o tem, co głupie i co mądre. Ale istotnie szaleństwem jest skierować usiłowania na coś niemożliwego, oczekiwać cudu. Pytanie wszakże, czy nie warto żyć raczej dla szaleństwa, które nam się podoba, aniżeli dla rozsądku, który się innym podoba!... Czy nie lepiej mieć wielki dramat w życiu, aniżeli być figurą w tuzinkowej komedji lub czerzej farsie?

„Są dwa rodzaje dramatów: jedne wynikają z tego, że nie osiągnęliśmy celu pragnień, drugie z tego, że... osiągnęliśmy — powiada pewien pisarz, dając do zrozumienia, że dramaty, wypływające z tej drugiej przyczyny, są stokroć straszniejsze.

„Sprawdziło się to na mnie. Odepchnięty, byłbym ostatecznie przeboleł wszystko. Zawód, cierpienie nie byłyby wykoleiły mnie, przeciwnie podniosły jako artystę. A osiągnąwszy... pozory, uwikłałem się w sieć niezaspokojonych życzeń. I tak być musiało. Na świecie „wszystko płynie”; z jednego, osiągniętego życzenia, wysnuwa się przedza nowych pragnień i na drodze życzeń człowiek musi zawsze wejść w topielisko nieszczęścia.

„Posiadanie samo nie mogło uszczęśliwić marzyciela wrażliwego i uduchowionego. Mając jej ciało, pragnąłem mieć kochankę, żonę, pragnąłem być kochanym. Jak duchotwórczy Pigmaljon usiłowałem tchnąć w nią duszę, wykruszyć z lodu iskrę ognia!

„Dramat mój był cichy, rozgrywający się jedynie w zamkniętej celi mej duszy.

„Flora nie zdradziła mnie. Nie dlatego, aby nie była do tego zdolną. Zaiste, wierności jej nie było można opierać na podstawie elastycznych jej zasad lub kupieckiej pseudomoralności. Ale czytając w niej,

jak w otwartej książce, usunąłem wszelkie do tego powody. Albo raczej powód, którym mógł być li tylko brak jedwabnych pończoch i biletu na trybunę wyścigową.

„Więc dawniejsze oszczędności spływały w kanał rozrzutności, wysokie me zarobki nie wystarczały i otwierała się coraz większa otchłań długów. A ja, opętany przez demona miłości, brnąłem dalej w oparzeliska... Świadomie. Flora była blisko a upadek mój gdzieś daleko.

„Nikomu nie zwierzyłem się nigdy, bo ludzie byliby wrzucyli ramionami, jak nad warjatem, który nie wie sam czego chce. Byłbym posłyszał:

— Człowieku! Czegoż tobie jeszcze więcej trzeba?! Masz żonę śliczną, elegancką, wierną, której może ci zazdrościć każdy!...

„Tak przemawia zdrowy rozsądek. A przecież miliony ludzi kosztem pokoju, szczęścia, życia, usiłują gwałtem obalić niewzruszone skały faktów, oczekując rzeczy niemożliwych. Każdy, kto modli się, modli się o cud.

„Bywały okresy względnego szczęścia, gdy wyczerpany szamotaniem się z sobą, zniżalem lot, zbliżałem się do poziomu Flory, godziłem się pozornie z tem, co jest i jak jest. Zamykałem oczy na płytkość i pospolitość jej umysłu, na jej pogardę dla sztuki. Nie bolała mnie oschłość jej serduszka. Kupowałem zdawkowe całusy i pieśszoty, karmiłem się jej wdziękami, bawiłem lalką, aby potem, z nowym zapędem rozpaczliwej bezsilności, mocować się z absolutną niemocą uczucia, modlić się o jeden odruch serca, o jeden promień miłości.

„Jedno zda mi się fenomenalnym w dramacie mego serca.

„Przez pięć lat mój zmysł krytyczny obnażał moją bogdanę, podminowywał ze wszech stron for-

tecę uczucia, a jednak nie zdołał wysadzić jej w powietrze. Tyłu a tyłu ludziom miłość przysłania oczy bielmem, podczas, gdy mnie prawie nigdy nie opuszczał stonóg krytycyzmu.

„Kto nauczy się patrzeć na siebie z nieubłaganim samokrytycyzmem, zyskuje w nim klucz do poznawania innych osobników. I kto nałogowo obserwuje siebie, targnie się z skalpelem nawet na przedmiot najgorętszych uczuć. Dla zmysłu krytycznego nie ma nic świętego.

„Tak skończoną jest we mnie dwoistość, tak zupełnym rozdwojenie osobowości, że krańcowy obiektywizm idzie w parze z niegasnącą miłością. Nie wiem, czy poczytać to za objaw wysokiej kultury duszy, czy też za symptomat chorobliwego rozłamu psychicznego. Może kultura duszy — w której kultura umysłu gra tylko pewną rolę — ujawnia się właśnie w stanowczym różniczkowaniu potęg psychicznych.

„Czepia mi się nieraz przypuszczenie, że z więzów uroku, jaki rzuciła na mnie Flora, byłaby wyzwoliła mnie jedynie — jej prawdziwa miłość. Osiągnąwszy cel mych celów, życzenie mych życzeń, zdobywszy kwiat paproci, spocząłbym na wawrzynach i rzekł do niej: Ty jesteś, jak inne, tylko kobietą, puchem marnym...

„Ambicja gra bardzo wielką rolę w miłości. Zwłaszcza u mnie, który, jako biedny syn gnieźnińskiego nauczyciela ludowego, piąłem się per aspera z niezłomną wytrwałością, z nieustraszoną uporczywością. Szalona ambicja broniła forticy mych uczuć przeciwko wszelkim zakusom zimnego rozsądku. Osiągnąłem w życiu wszystko, czego pragnąłem z napięciem woli, łamałem wszystkie zapory, więc mężnie stałem w obliczu widma bezczucia, które szklanem spojrzeniem bezmyślnych ślepi mroziło mi skronie. Czyż nie wrzał w mej piersi wulkan ognia miłosnych? Czyż podobna,

aby pod ich tchnieniem nie stopniały lody? „Miłość czyni cuda...”

„Nie uczyniła...”

„A umarła nadzieja mego wybawienia...”

„Umarła nasza dziecina. A ja tego wieczora musiałem grać Offenbachowskie arje!... Przyszła na świat bodaj na to jedynie, by rozbudzić w mej harfie sercowej strunę miłości rodzicielskiej.

„Matka zapomniała niebawem o małej Jadwisi. Nadszedł sezon wyścigowy. Ja nie przestanę nigdy oplakiwać tej dzieciny, która byłaby ściągnięta na siebie cały prąd mej miłości i wyrwała mnie z malstromu zagłady.

„Umarła... Odtąd rozpetane uczucia rodzicielskie przelałem na matkę, to wielkie, śliczne dziecko. Odtąd nietylko kochałem się w niej na zabój, lecz kochałem ją — więcej niż samego siebie, jak własne dziecko, dla którego ofiara jest lekka, przykreść przyjemnością.

„Postradałem najcenniejszy atrybut męskości: egoizm.

„Kochałem w niej dziecko; jej naiwność, puste uśmiechy, zalotne minki, niewieście fanaberje, grzeczniutkie maniery. Ba! Nawet nieraz jej grymasy i egoizm pięcioletniej dziewczynki. Kochałem ją...”

„Boże! Jak ja ją kochałem!...”

V.

Dzień wślizgnął się do celi, jak chytry złodziej, ukradkiem, nieznamcnie, wylazł skądś z bladą twarzą złoczyńcy, który, po nocy w półśnie chorym, w półjawie mrocznej, strawionej, rozwiera leniwie przygasłe oczy na pieczarę swej niedoli. Rozsiał nieco sinych, zgniłych blasków, mocujących się nieśmiało z cieniami nocy, na podobieństwo złoczyńcy zgłupia-

łego, który, taczając się błędnie po celi, wyzwała się powoli z chmury snu, mroczącego jego umysł zępany.

Więzień podnosi się z posłania niemrawy, ponury, z sercem zamarłem, z duszą przeżartą przez bunt antyspołeczny do przymusowego bytowania bez celu, bez nadziei. Tak samo dzień włazi do więzienia jako intruz w królestwo nocy, dźwiga się, jakby w cuchnącej trupiarni, nasiąkły wyziewami zgnilizny, mikroorganizmami rozkładu.

Ołowiana szarota zasnuwa przestrzeń klatki. Majaczy w niej postać więźnia, poruszającego się ospale.

Sadłowski posłał łóżko, zahaczył je na ścianę, umył się w blaszanej miednicy, postawił kamienny dzban opodal drzwi i ułożył w szafce przedmioty według przepisu: kajet z regulaminem porządkowym, niemiecką książkę do nabożeństwa, kilka szczotek, szuwaks, mydło, solniczkę, blaszaną łyżkę i drewniany nóż.

Czyści parę butów.

Czarna rura, sprowadzająca ciepło z centralnego pieca i przeszywająca kąć celi z góry na dół, nieogrzana jeszcze, więc Sadłowski w płóciennych spodniach, w „jaczce”, pod którą ma cienki, włochaty kaftan i koszulę, drży z zimna, dzwoni zębami.

Zegar bije szóstą. Krótco potem dzwoni roznosi po skrzydłach dźwięk, oznajmiający śniadanie, i niebawem pomocnik kuchenny wręcza mu kawał chleba i wlewa do misy płynu mętnego jak pomyje, ale ciepłego, przypominającego zapachem kawę.

Więzień nie wdryga się już przed t. z. kawą; przytknąwszy usta do brzegu miski, chlipie po chłopsku rozgrzewający napój. Tak zastaje go „majster”, obarczony pliką papieru.

Jeszcze zegar nie wybił wpół do siódmej, a już trzykrotne uderzenie dzwonu wzywa więźniów do

pracy i już Sadłowski z różkiem w ręku rozpoczyna zawijać brzegi arkuszy.

Poczyna się zaciąg nowego dnia niewoli. Którego? Każdy więzień wie to doskonale; obliczył dni minione i pozostałe dni kaźni, może nawet godziny, minuty.

I Sadłowski wie, że za 57 dni upłynie pierwszy rok kary za sfałszowanie weksla. Jeszcze 57 dni. Jutro będzie 56, pojutrze 55. Za 57 dni stanie nareszcie u pierwszej mety, jaką sobie wytknął, podzieliwszy karę na dwie połowy, by nie wydała się tak nieskończenie długą. Ma on wrazenie, że okres jego kaźni nie skraca się jeszcze prawie wcale, lecz pocznie dopiero zmniejszać się od chwili, aż dodźwiga się do tej mety, gdy upłynie rok. Wtedy z pewnością codzień będzie o jeden dzień bliższym kresu kaźni.

Co rano w głowie więźnia powtarzają się takie nadzwyczajne, naiwne obliczenia, z których czerpie on nowy zasób rezygnacji, niezbędnej do przetrwania doby. I tak dusza zboląta układa się do półsnu na ślimaczęj fali czasu, na którego bieg zgola nikt nie jest tak wrażliwym, jak więzień.

Czas to tyran okrutny, nieubłagany, którego nikt nie okpi, nikt nie pokona. Więzień nie poczuwa się do winy; to co zrobił, musiał zrobić. Inaczej być nie mogło. Wszelako obraził czemś czas, który mści się za jakąś krzywdę, przygniata go kolanem, dręczy bezlitośnie. Więc modli się tylko do czasu, błagając go całem zażawionem sercem: pędź! pędź! O skrzydlaty!

Ale srogi czas wlecze się. Wlecze się, jak wóz ładowny, po grudzie i wybojach. Więzień czuje jego ciężar, każdy jego ruch, każde drgnięcie i drży z obawy, by nic nie powstrzymało go w biegu. Boże! Coby się stało, gdyby czas nagle stanął?!...

Nie! Płyną minuty, godziny. Mówi o tem dobry

zegar wieżowy. Sam niewolnik, więc przyjazny więzniom.

Sadłowski zasnął duchem, zapadł się na dno ciższy, aż wreszcie zbudził go kapelan więzienny.

Miły gość. Jedyne człowiek, z którym mógł pomówić ojczystym językiem. Już dzięki temu wnosił on z sobą jakby promień sympatji, pocieszenia — dobrą nowinę.

— Zdrowo? Jak się pan czuje? — zapytał ksiądz stereotypowo, zajmując opróżniony przez Sadłowskiego stołek, i bąknął: Błady! Błady! Wątroba pewnie, albo śledziona... Spleen...

Wiktor nic nie odpowiedział; dziwnie zobojętniał dla swej skorupy cielesnej. Natomiast zagadnął, co słychać w świecie, co piszą w gazetach, bo pragnął upewnić się, że istnieje świat, w którym się coś dzieje, — pędzony chyżo motorami woli, ambicji, żądz.

Lecz kapelan nie wspomniął o wypadkach na dobie.

— Sprowadza mnie do pana wizyta, jaką miałem wczoraj. Przybył do mnie po południu z Berlina jakiś pan. Po cywilnemu ubrany, ale pytanie, czy nie oficer. Przedstawił się jako baron Ohlershausen. Nie zna go pan?

— Owóż pytał mnie się, czy możnaby pantu przynieść ulgę jaką, złożyć w kasie pieniądze lub przysłać wiktuałów. Odpowiedziałem mu, oczywiście, że jest to zgola niepodobieństwem, że przesyłki nie doręczonoby panu. Więc prosił mnie, abym panu zakomunikował, że z chwilą wyjścia z więzienia, znajdzie się w Berlinie pewna kwota pieniędzy dla pana i wielbiciele pańskiego talentu postarają się o to, by ułatwić mu pierwsze kroki na wolności.

Wiktor zrozumiał. Ów oficer był poprostu emisarjuszem pani kapitanowej, która sama nie mogła

ani listownie, ani osobiście wyrazić mu sympatji, ni rzucić promienia pocieszenia w mrok jego celi. Dobra!

W istocie nie mogła uczynić nic, co ceniłby sobie wyżej nad to. Bo dowód jej sympatji dźwignął go, opromienił mu duszę wprost olśniewającym blaskiem radości. Nikt w tej mierze, jak więzień, nie łaknie okrucieństwa współczucia, dobrego słowa, łaskawego spojrzenia. Żyjąc w nieodstępnej poczucie swego upadku i sromu, przyciska je do piersi gorąco, jak balsam leczniczy.

Emma nie potępiła fałszerza, nie odwróciła się odeń z pogardą, nie zapomniała o nieobecnych, z listy ludzi wykreślonym. Widocznie pozostał dla niej muzykiem, któremu zawdzięczała tyle chwil czystej egzaltacji i żaden „Gardeleutnant” nie wyrugował z jej głębokiego serca dalekiego „amant de coeur”. Można było powiedzieć o niej: „lekkomyślna, wiarotłomna, wszetecznicza”, jednakże, jak anioł dobroci, wycisnęła łzę wdzięczności z jego oczu, zgotowała mu chwilę złotego uniesienia, ujawniając bezkresną wartość dobroci.

Po odejściu księdza kapelana Sadłowski ukrył twarz zwilżoną w dłoniach i w myślach stał jej modlitewne słowa podzięk, błagając tajemnicze moce przyrody, by zaniósł jej echo tych tonów kościelnych wezbranego serca i złożyły niby wiązanek kwiatów u nóg — wszeteczniczy.

A Flora? Czyżby ta czysta, wierna, „wzorowa” żona nie mogła wytrzymać porównania z Emmą?...

Raz po raz nadchodziły jej listy banalne, czczone, zionące pustką. Jak w śmietniku nikt nie byłby odnalazł w nich ani jednej perełki, zdradzającej przełotne wcielenie się w niedolę męża, w sromotę człowieka, który kochał ją nad — własną cześć.

Ale miała nareszcie przyjechać! Pragnęła zgotować mu radosną niespodziankę, podczas gdy on, z

zapamiętałością przepojonego goryczą pesymisty, gasił blaski jej czarownej istoty, uwypuklał ciemne jej rysy.

Grzeszył przeciwko niej — tej słodkiej śliczności. Jeśli listy jej wydały mu się zdawkowe, to poprostu dlatego, że nie umiała wyrazić swych uczuć i lękała się, by urzędnicy więzienni, czytający listy do więźniów, nie wejrzeni okiem profanów w sferę ich uczuć. Zarzucał jej najpospolitszy materializm, a ona tymczasem bliższą była sercem fałszerza i więźnia bez grosza, niż oklaskiwanego muzyka, obsypującego ją złotem. Nieszczęście jego rozbudziło w jej piersi czułą strunę jak u istot o szlachetnym podłożu duszy. Lubo pozbawiona środków do wystawnego życia, wędła teraz w panińskiej izdebce u rodziców, i tęskniła za nim...

Ona zawsze go kochała. Cały, acz niewielki, zasób uczuć, przelała na niego. Jeszcze przed zamążpójściem obraz dawnego kochanka zatarł się zupełnie w jej pamięci, potem żaden cień mężczyzny nie zakradł się między nich, nie zagrażał ich szczęściu małżeńskiemu.

Biała, jak lilia, Flora kwitła przy jego boku wśród odmętów wyuzdanego życia niemieckiej Sodomy może nawet nie widząc błota, które rozlewało się cuchnącemi kałużami w kraju „dobrych obyczajów”. Wreszcie dobra córka przytuliła się do ogniska rodziców, czekając z pokorą chrześcijańską kresu jego kaźni...

Rozjaśniło się w duszy więźnia.

Podniesiony na duchu objawem przyjaźni, ogrzany tchnieniem serca, poczuł ogromną potrzebę wiary w dobroć ludzką, w miłość Flory, potrzebę — szczęścia. Fale wygłodzonej, a zawsze żądnej wzruszeń duszy jego wzięły się pod słońce i począł przemalowywać portret żony jak najjaśniejszymi barwami, nurzać się w wizji pięknego ciała, wysnuwać z niego wy-

marzone linje duchowe i korzyć się przed gwiazdą swego życia.

W więziennych ścianach zagościła niepodzielnie miłość. Pieściła mu duszę szeptami nymf, złociła nagie mury tęczowymi blaskami, wskrzeszała wyidealizowane obrazy z ich pożycia i malowała idylliczne sceny. Dzięki spotęgowanej wyobraźni samotnik miał złudzenie, że Flora zstąpiła doń z wyżyn ideału. Podziwiał każdy szczegół jej postaci, rozkoszował się brzmieniem jej głosu, czuł miąższość i woń jej ciała. I na matczynej piersi swej „dobrej” żony wypłakiwał bóle niedoli więziennej, kołł utęsknienia. Aż, jak łódź ukolysana na toni górskiego jeziora, złożył biedną głowę na łonie ubóstwianej kobiety, okwiecony powojami marzeń, wniebowzięty.

Z nizin upadku duchowego wznosił się, dzięki naturalnej reakcji, na szczyty szczęśliwości egzotycznej. Z wiarą w miłość Flory, sięgał głową niebios.

I tak prześnił dzień cały w słonecznym nastroju.

VI.

W kilka dni potem, nim wyprowadzono więźniów na przechadzkę, jeden z wielu dozorców otworzył celę 426 i zawołał lakonicznie:

— *Sprechstunde!*

Sadłowski zerwał się ze stołka, zerknął wylektem okiem w obojętną twarz dozorca, potem poprawił drżącymi rękami kraciastą chustkę na szyi i począł wzuwać buty. Nieopisany chaos, jaki w nim panował, i nabyta w więzieniu inercja życiowa, zamykały mu zrazu usta. Wreszcie spytał:

— Kto chce ze mną mówić?

— Jakaś pani — bąknął dozorca i po chwili, czekając na więźnia, wiążącego sznurowadła, dorzucił:

— Bardzo elegancka osoba. Czy to pańska żona?

— Przypuszczam.

Wzbudziło to u dozorca pewne poszanowanie. Człowiek, mający taką żonę, musiał mieć przecież siłę grosza.

Ruszyli po galerjach i schodach do mównicy.

Sadłowski dostał się do zupełnie pustej celi, biało otyłkowanej, dość jasnej. Jedną jej niemal całą ścianę stanowiła podwójna, gęsta siatka druciana, osłonięta z drugiej strony jakby drewnianym parkanem.

Jeszcze chwila, a za tem dnem rzeszota ukaże mu się od dziesięciu miesięcy po raz pierwszy zjawisko: kobieta — kobieta piękna — żona...

Tak był osłabionym, tak przeczulonym jego organizm nerwowy przez cierpienie i samotność, że szukając podpory, uczeplił się palcami siatki, jak ptak szponami. A serce biło mu młotem.

Trrr... Trzask odsuwającej się ściany drewnianej.

Po za pajęczyną drucianą ukazało się, zrazu jakby w oddaleniu, jakieś śliczne, kolibrowe stworzenie: kobieta. Każda inna kobieta byłaby przemówiła doń wdziękiem niewieścim. A cóż dopiero ładnie narysowana sylwetka na popielatym tle pokoiku, służącego za kancelarię inspektora policyjnego, który oświetlało efektownie światło, padające z boku, podkreślając misterny rysunek noska, miękkie owal i ładne linje figury. Bujne zwoje lnianych włosów osłaniał kapelus rembrantowski z nadzwyczajnymi piórami. Wyprostowana, zgrabna, jakby pozująca do portretu, zdawała się mówić: otóż jak wygląda piękna kobieta!

Urzędnik, uczestniczący obowiązkowo przy rozmowach z więźniami, cofnął się na ubocze, wsparł o biurko i spozierał z ukosa nieustannie, na wyjątkową, olśniewającą Berliniankę.

Sadłowski był w rozprzężeniu. Bo żywy człowiek z krwi i kości, a zwłaszcza kobieta, działa mocą rze-

czywistości zbyt potężnie, niemal przygnębiająco, na umysł pustelnika, oglądającego kobiety tylko w wyobraźni. Ujawnia się tu empirycznie potęga realności oraz wpływ, wywierany przez osobistość i staje przed oczyma jedna z zapomnianych prawd: że człowiek jest cudem.

Berlinianka szczebiotała żywo:

— *Wie get's dir, Victor?*... Ah, nie można ci nawet podać ręk! Wybrałam się do ciebie mimo słoty. Cztery godziny w wagonie przeszły dość szybko. Papa już dawno namawiał mnie do tej wycieczki. Ale się nie dało. Papa nie zapomniał o tobie, o! nie! Kiedyś, gdy ktoś zauważył, że lichą zrobiłam partję, tak się ujął za tobą, tak cię wystawiał... Żebyś był słyszał!

— Zdrów on? — wtrącił Wiktor.

— Zdrów, matka skarży się na reumatyzmy. Ale wystaw sobie co stało się Frani...

Tu pani Sadłowska opowiedziała mu o zgoła trywialnym zdarzeniu kuzynki, poczem zawołała:

— Ty wcale nie masz kołnierzyka, tylko jakąś okropną chustkę! Ah! ty biedaku... Błado wyglądasz, ale cerę masz ładną. Ile masz jeszcze do odsiedzenia?

— Czternaście miesięcy.

— Prawda. Czternaście. Cała wieczność! Patrzyć na mój pluszowy żakiet? Nie bardzo ciepły, ale — ładny!

Wiktor nie patrzył na pluszowy żakiet, ani na angielski, *tailor-made* kostjum podróżny, ani wreszcie na brylanty, osadzone na złotej szpilce, zamykające kołnierz stanika, chociaż zauważył wszystko to mimochodem. Ale bąknął:

— Bardzo ładny.

— Schudłeś, zmarniałeś... Niedawno mówiłam do matki, że gdybyś miał umrzeć, przez całe życie nie zdejmę czarnej sukni i krepowego welona. Niel

Krepowy welon nosiłabym tylko w rocznicę śmierci, ale czarną suknię zawsze...

Djabelski uśmiech świsnął przez duszę więźnia, ale maska nie zmieniała się na jotę i zauważył serjo, z przekonaniem:

— Bardzo ci do twarzy w czarnej barwie.

— Wygląda zawsze dystyngowanie. Zresztą, niechby ludzie wiedzieli, że kochałam cię prawdziwie, mój sławny skrzypku!

Snadź uprzytomniała sobie teren sukcesów męzkowskich.

— Na jednym z ostatnich koncertów ubiegłego lata — zaczęła — spotkał mnie ów dziwaczny Wiedeńczyk czy Węgier, doktor Claus. Znasz go. Pytał się o ciebie. Powiedziałam, żeś wyjechał do Rosji. Ujął mnie za rękę i mówi: „Powieś mi tylko jedno: ludzie głupi, głupi... a to dusza artysty”. Nie podoba mi się to powiedzenie; wzięłam cię w obronę. „Przecież nie może pan powiedzieć, że ludzie nie poznali się na moim mężu?...”

— A on co na to? — zapytał ciekawie Wiktor.

— On na to flegmatycznie: poznali się, poznali się, oklaskiwali... O! rety. Ale ja pani powiadam: ludzie są głupie osły, a to dusza artysty”. Gadać tu z tym błaznem?! Absynt pije i plecie bez sensu. I inni wspominają cię w ogrodzie, mówiąc wobec tej niby to sławnej muzyki węgierskiej: „to nie ładny Wiktor, o! nie!...” Ja myślę, że na wolności wkrótce przyjdiesz do siebie, odzyskasz dawny wygląd. Nie osiwiłeś ani trochę.

— I cóż oni grają tam teraz?

Flora referowała mężowi ściśle, zwłaszcza, że miała w głowie notatnik pełen nazwisk sztuk, kompozytorów i gotowych o nich opinii.

Słuchał, pytał o ten i ów szczegół, a spodem słów krzyżowały się ostre floretty zagadnień innych, wpija-

jących się w wnętrzości, i wzrok jego z coraz większym naciskiem godził w jej białą twarzyczkę, chcąc wyczytać istotną treść jej życia w ciągu ubiegłych miesięcy rozłączenia.

I bodaj wyczytał, gdyż bolesny skurcz ściał mu lica z błyskawiczną szybkością, namarszczył je wraz z demonicznej grozy i znikł w przepaścistych szczelinach duszy. Przez chwilę oddychał ciężko, gniotąc rękę o rękę, aż uzbrojony w spokój, zapytał celowo:

— Jak stoją finanse ojca?

— Nie możesz na to liczyć, aby, po wyjściu twem z więzienia, mógł co dopomóc. Ale nie kłopotz się: jakoś to będzie... Mieszkanie rodziców od tylu lat nie odnowione. Nie podobna w niem wysiedzieć.

To rzekłszy Flora, zażenowała się, bo uprzytomniła sobie, że urzędnik przysłuchuje się wszystkim. Wiktor w zakłopotaniu tem dostrzegł potwierdzenie podejrzenia, które mu się narzuciło.

— A jednak w tem mieszkaniu wytrwasz?

Bódl w źrenice jej jednym z tych skalpelowych, zimnych spojrzeń, pod których naporem drżała anemiczna dusza Flory.

Zmieszała się, poczęła poprawiać duńską rękawiczkę.

— To też... niedługo wyprowadzę się. Matka sama uznaje, że niepodobna zamieszkiwać mojej dawnej ciupy. Prostu nie można.

— A gdzie masz mieszkanie?

— Ah, bardzo miłe dwa pokoje, ciepłe, wysokie. Sztukaterje. W bardzo przyzwoitej dzielnicy, przy Steglitzerstrasse, w nowym domu.

— A czemu pisywałaś listy z pod adresu rodziców?

— Bo... No, bo przecież mieszkałam dotąd u rodziców! — zawołała i rozśmiała się dziwnie, zer-

knawszy mu w oczy tryumfująco. Lecz pod okiem sędziego śledczego skurczyło się w niej serce i poczęła w obfitych potokach słów opowiadać o przebiegu podróży z Berlina.

Wiktor przerwał jej swobodnem pytaniem, w uszach urzędnika brzmiać niewinnie:

— Nie spotkałaś wypadkiem na wyścigach asesora von Richtera?

Przerażenie mignęło w szlanych źrenicach pani Sadłowskiej na dźwięk nazwiska dawnego kochanka.

— Sędziego, chciałaś powiedzieć.

— Skąd wiesz, że został sędzią?

— Jakto? Przecież już dawno... Zresztą... spotkałam go kiedyś na wyścigach.

— Na wiosennych meetingach?

— Tak... Raz widziałam go zdaleka na biegach kłusaków.

— Nie pytał się o mnie?

— Ależ naturalnie. Nawet bardzo serdecznie. Dobrze wychowany człowiek. O tobie zawsze wyraża się jak najpochlebniej. Mówił, że wyszedłszy z więzienia...

— A skąd on o tobie wie??

Gorący rumieniec oblał twarz Flory.

— Nie chciał mi wyznać, od kogo się dowiedział, lecz poręczył słowem dyskrecję.

— I cóż mówił?

— Że powinien się kształcić jeszcze, albo raczej pracować z całym spokojem, a wkrótce zastąniesz w dziedzinie muzyki klasycznej jako solista.

— Kształcić? Za co? — pytał dalej Wiktor, a twarz jego wygolona, z uderzająco wystającą szczęką, przypominać mogła stare, angielskie portrety fizjognomji dumnych, stalowych, nieporównanym namaszczonej spokojem.

— Ach! Przy swych stosunkach, on, tak bogato ożeniony, wystarałby ci się o pomoc.

— Mówił to?

— Nie... ale dał wyraźnie do zrozumienia.

— Bardzo uprzejmie z jego strony... — bąknął prze zęby Wiktor, nie wierząc ani na moment, aby Richter chciał i śmiał przyjść mu z jakąkolwiek pomocą.

Natomiast nie wątpił, że Flora mówiła prawdę. Aby zdobyć się na kłamstwo, potrzeba wyobraźni. Richter dawał istotnie coś w tym rodzaju do zrozumienia, w celu zupełnego skaptowania sobie względów Flory i uspienia jej troski o przyszłość męża, jakiej zgoła nie żywiła. I Richter oceniał ją za wysoko.

Powtórę Wiktor nie wątpił, że ona już od kilku miesięcy mieszka w wynajętym przez Richtera gniazdku i jest jego metresa.

Kochanek dał jej pieniądze na podróż, a ojciec namówił ją do niej. Wypchnął ją poprostu do męża! Tak w świetle prawdy przedstawiało się przywiązanie i tęsknota Flory oraz „pragnienie zgotowania mężowi radosnej niespodzianki!”

Już nic nie mieli sobie do powiedzenia.

Flora straciła jakoś swobodę; targało ją pragnienie wydostania się jak najprędzej — na wolność.

Na szczęście urzędnik poruszył się, spojrzął na zegarek i zdało się, że zamierza położyć kres ich rozmowie. Wszelako nie upłynęło jeszcze pół godziny, więc milczał. Ale Flora zawołała żywo, z niekłamana radością:

— Już czas!... Okropność, że nie można cię uściskać, ani nawet podać ci ręki przez tę siatkę. Tu jak w menażerji.

— W istocie, pokazują nas, jak dzikie zwierzęta.

— *Na, lass dir gut gehen, Victor!* Bądź dobrej

myśli. Ojciec kazał cię uściskać serdecznie. I matka także. Wkrótce napiszę...

— I tobie niech się dobrze dzieje... moja Floro!...

Dwa ostatnie słowa spłynęły, niby dodatkowo, cichuteńkim szeptem, w którym drgał kamerton przeducudnego sentymentu.

I nagle, jakby w przeczuciu, że ogląda ją po raz ostatni, zerwało się w nim straszne, miłosne przerażenie, wstrząsnęło nim jak liściem. Jakiem prawem oprawcy oddzielali odeń połowę jego istoty, zostawiając krwawiącą ranę tęsknoty?! Przez czas rozmowy torturowała go. Niech torturuje dalej, ale niech nie gaśnie! Niech oczy jego spoczywają na tej gwiazdzie, w której miłość zamknęła wszechświat. Niechaj odczuwa boski czar jej obecności!

Party ku niej fatalną siłą, wpił się palcami w ogniwa drutów, przycisnął czoło do siatki i oplótł ją kurczowem spojrzeniem, wgryzł się w jej usta, uczeplił jej ramię, jak tonący nadbrzeżnego drzewa. Jeszcze chwilę!... Jeszcze chwilę jej widoku, chociażby za cenę życia!...

To kość z jego kości, kochanka jego serca, dziecko jego jedyne!... W nią wpoetyzował śnienia słoneczne, w nią wcielił wszystko. Było to jego życie i śmierć, szczęście i nieszczęście nieszczęść. Jego przeznaczenie!...

Już jej nie było!... Nie było!...

Z głębokiem „uf!” wyszła Flora z pierścienia murów więziennych. Zaiste, trzeba było niemałego poświęcenia, by wstępować w te wstrętne budowle. Brrr...

Skąd Wiktorowi strzeliła myśl zagadnięcia ją o Richtera?... Było to niemiłe. Ale on pewnie się nie domyślił. Zresztą... cóż miała począć, pozostawiona prawie na bruku? Nikt mu nie kazał dopuszczać się fałszerstwa. Gdyby chociaż było się oplaciło!...

Niežnośna rzecz! Lewa rękawiczka przedarła się na dłoni. Naturalnie o te przebrzydłe druty.

Nie zerknąwszy ani razu na zespół więziennych gmachów, Flora szła na dworzec kolejowy, rozmyślając, co pocznie ze swą figurą przez dwie godziny, przez które musiała czekać na pociąg. Przez dwie godziny pić marną kawę z niemożliwym plackiem i — ziewać! Przyjemność!

Oby mknieniem strzały dostać się do Berlina!....

Es giebt nur'ne Kaiserstadt

Und die heisst... Ber... lin...

VII.

Minęło spotkanie i — wszystko.

Do niego wybiegał więzień utęsknionem sercem, jak do oazy cudownej po kroplę ożywczego eliksiru życia. Do niego wyciągał ramiona, niby ostatni żebrak, błagając o jeden okrucz współczucia, modląc się o jedno dobre słowo. Do niego zwracał się, jak kwiat złamany do słońca, które miało wskrziesić go jednym promieniem, tchnąć weń moc do wytrwania, chęć do życia.

Minęło i otóż spoczywał zabity.

Młde światło lampki pełzało po niebieskawej, nieruchomej, na stole zawisłej bryle, która, zdało się, za chwilę zwali się, rozsypie w próchno.

Przystąpiła do niego boska niepamięć bytu i zanurzył się w głębinach eterycznej, niby przedzgonnej ciszy.

Zbudził go wreszcie brutalny głos dozorczy, który, przechodząc po galeriach, odsunął blaszkę, zasłaniającą okną szybą we drzwiach, zajrzał przez to „oko Judaszowe“ i huknął:

— Nie spać!... Do pracy!

Zelektryzowany więzień chwycił za płytę i ro-

zek i począł związać arkusze. Po raz pierwszy bezmyślne zajęcie wydało mu się czemś szlachetnem. Ale ręce wypowiadały posłuszeństwo; praca szła o-pieszale, bo paraliżowała go ogromna słabość.

W migawkowych drgawkach zrywały się uwagi, jak wypłoszone ptaki.

— I to stworzenie chciałem przeanielić... Przódy wielbłąd przejdzie przez ucho igielne... Z niczego nawet djabeł bicza nie ukreści...

Chichot wiedźm jakichś zwiął myśli i znowu pustka zapanowała w umyśle.

— Kobieta bez serca—mówił sobie—to nie kobieta; to bydlatko lub... człowiek. Kobieta może być inteligentna, powinna być ładna, a musi być dobrą. Inteligencja rzecz względna, dobroć realna...

Opadły mu ręce. Rozprzeżał go zupełny zanik żądz życia i wszelkich porywów. Cierpienie istnienia wśliznęło się w zarośla duszy i mroziło go lodowatym dreszczem. Głucho w nim było, jak w pieczarze, gdzie niekiedy tylko huczą puszczyki.

Wreszcie przeszył go subtelny, dojmujący lęk. Dźwignął się ze stołka i począł powoli chodzić błędnie po celi.

Nagle rozejrzał się w przestrzeni wylekzionem okiem i wzdrygnął, bo ujęło go w szpony wrażenie, że cień Flory wkraść się za nim z mównicy i snuje się jak nietoperz wokoło jego głowy, ssie krew jego jak wampir.

— Nie widzę jej!... Ale ona tu jest.. Zatrwała mnie... To było jej misją. Po to przybyła. Wszczepiła we mnie śmierć...

Chorobliwe złudzenie rozwiała się, ustępując przed martwością. Znowu błąkał się, jak mara w mroczkach klatki.

Zdumiał się, gdy wszedł „majster," który na widok Sadłowskiego, oderwanego od pracy, przeszył

go piorunującym wzrokiem i wpadł na niego za to, że nie wykonał przepisanego pensum.

— Jestem chory — bąknął Wiktor.

— Co panu dolega?

— ...Jestem chory — powtórzył Sadłowski, nie umiejąc zgoła określić ani natury, ani siedliska choroby.

— Musi pan jutro rano zgłosić się do lekarza.

Choroba ta nazywała się poprostu nieszczęściem. Nieznana w słowniku medycznym, a jednak dosłownie—choroba. Bo, jak bakcył wkradła się w organizm, toczyła go krecią robotą, przegryzała.

Już zdolność cierpienia jest symptomatem chorobliwego stanu duszy — afekcji nerwów, polegającej na znacznej przewadze sił duchowych nad zwierzęcymi. A wtedy nie wiele potrzeba, by sprowadzić stan zapalny, chorobę. Podczas, gdy człowiek zdrowy stąpa obok nieszczęścia, lub po niem, z miną figury komedjowej, odgrywając przyzwoicie, gdy koniecznie trzeba, żalność, smutek, skruchę, człowiek tą przypadłością dotknięty w lada złamanem żdźbale słomy dopatry się dramatu i krwawi sobie, rozdziera serce na szlakach duszy.

Gdy wydzwoniono noc więzienną, Wiktor przysiadł na łóżku, nie mając dość energii, by się rozebrać, i tak długo spoczywał bez ruchu w czarnej melancholji, przesiąkły poczuciem absolutnej swej samotności i zbyteczności na świecie.

Nikły, błędny ośnik w więziennem węzowisku... Tli się jeszcze w grobowej ciemnicy... A gdy zgaśnie, nic zgoła nie zmieni się, nikt łzy nie uroni, nie westchnie za nim... Był i odszedł... A jednak ze śmiercią człowieka, ginie świat...

Słabość powaliła go na tapczan; legł martwy, jak kłoda.

Gdy wszakże rozgrzał się, fale krwi poczęły bić

żywym prądem do mózgu, rodząc zrazu mgliste wiry myślowe, jakieś pasma dawnych wspomnień, echa dalekich dni, snem owianych. Powoli z chaosu wyrastały obrazy coraz plastyczniejsze, gdyż umysł uwypuklał je, zgłębiał i przetapiał na ołów, kropla po kropli spadający z sykiem na rozdartą duszę.

Barwne, żywe obrazy snuły się wokoło Flory.

Aż ujrzał ją na tle bieżącego wieczoru i, nie odstępując od niej ani na krok, wcielił się w nią i począł żyć jej życiem, minuta po minucie.

Sala koncertowa, skąpana w potokach elektrycznych blasków, zwierciadeł, festonów złocistych. W morzu światła — śnieżna kamelja: Flora przy boku Frani, która, nie dość ładna i nie dość elegacka, by miała przyćmić panią Sadłowską, nie była jednak tak niepokazną, by ją kompromitowała swem towarzystwem.

Flora ma tego wieczoru wiele do opowiadania— o mężu, o więzieniu, o swej wycieczce do Wronek. Opowiada, jakby o wizycie w menażerji na zapadłej prowincji, jakby o sensacji na dobie, w której przypadła jej jakaś rola. Trochę dumna z tego, mówi wiele, podkreśla niektóre szczegóły, a przytem nie zapomina roztaczać czasem promieni swych drzemających, dziecięcych oczu, wyczuwać brzemienne podziwem i pożądaniem spojrzenia mężczyzn.

Pozwala się podziwiać, ujęta silnie w elegancki stanik przyzwoitości, który można rozpiąć tylko złotym haczykiem, jaki dzierży w kieszeni pan Richter.

W głębi sali, w kole wytwornego towarzystwa, pan sędzia zdaje się nie wiedzieć o istnieniu Flory. Wszelako, przesuwał się między stołami do bufetu, zerka w stronę Flory, rzuca jej w spojrzeniu poufały uśmiech i przesyła jej przez kelnera bilecik.

O dwunastej! Więc Flora, wkrótce po koncercie, każe się odwieźć do domu jednemu z wielbicieli

i kandydatów, trzymany w rezerwie, oraz matkującej Frani, żegna ich u bramy i wbiega do siebie, szumiąca jedwabiami, lekka jak sylf, swobodna. Niema to, jak być śmiecią złotą!

Zdejmuje palto, suknię, wieszka w szafie starannie, zastawia w saloniku, na alzackim obrusie, zimne mięsiwa, wina, owoce — ze starannością wykwintnej gospodyni. A uwijając się tu i owdzie, zerka raz wraz w zwierciadło, odbijające zgrabną postać uroczej kobiety, obnażone ramiona i nieskazitelny biust, wynurzający się z koronek szafirowej, gazowej koszuli.

Włożywszy różowy negliz, siada w sypialni przed kryształowem lustrem, w srebrne ramy ujętem, muska dłonią świetną fryzurę: rozczesane przez środek czaszki lniano-złote włosy, spływające falisto w koszyk loków — pączków wonnych, półkolem wieńczących miniaturową głowę.

Z jasnych ram wystaje niskie, marmurowe czoło, niczem nie zachmurzone, podkreślone dwoma łukami sztucznie stonowanych brwi, wyrasta noskiem misterny i lica z listków róży białej utkane, o miękkim owalu. Twarzyczka, trochę bombonierkowa, trochę z Botticelli'ego skopiowana, może banalna, jak owe główki na oleodrukach, rozpościerających się na ścianach burżuazyjnych, a jednak śliczna mocą rzeczywistości, prześliczna, jak całus w siedemnastej wiosnie...

Kto raz wchłonął dziewczicą woń tego złudnego zjawiska, kto pieścił w ramionach alabastrowe cacko, tysiącem pocałunków palił jej łono, nie może nie mdleć sercem, nie umierać na to wspomnienie. Musi kochać...

Wchodzi kochanek. Gawędzi. Ah! Flora była dnia tego u męża! No, więc jakże tam było? Jeśli Wiktor istnieje jeszcze, to w tym celu, by dostar-

czyć kochankom tematu do pięciominutowej rozmowy.

Flora opowiada raz jeszcze wszystko pokrótce, wplatając jeden i drugi akcent fałszywego żalu, lecz... czyż on ślepy? Nie zauważył wcale nowego jej neglizu paryskiego?

Pije wino, pali papierosa, więc Flora sama musi zwrócić jego uwagę na negliz. Siadając mu na kolanach, poucza go o pięknościach matowej tkaniny, owiewa go perfumem „miłości”. A on, opłatając ją ramionami, cedzi:

— Ładny, bardzo ładny...

Rozpina negliz, przyciska usta do szyjki, wchłania nozdrzami ciepło, woń jej ciała, nurza się w fali żądz. Rozwiązuje szafirową wstążeczkę koszuli, muska dłonią obnażone piersi, ślizga się po biodrach...

Rwie się obraz na szmaty, rwie serce w kawały.

Jakby rozpalonem żelazem w serce dotknięty, wiezień jednym sprężystym rzutem wyskakuje na podłogę. Drżący, bezprzytomny chwyta się za głowę, potem szuka czegoś na stole, pod łóżkiem, po kątach. Błąkając się w ciemnościach, wali rękami po zimnej podłodze, czołga się na klęczkach, jęczy..

Raptem zrywa się. Jakby nagle w otchłań płomienną zwalony, wyrzuca z piersi wściekły krzyk przerażenia:

— Skrzypki!!!!... Moje skrzypki!

Snadź storturowana dusza w momencie kataklizmu wewnętrznego — genezy obłędu — krzyknęła o jedyną deskę ratunkową, jaka wybawić ją mogła z topieli wieczystej ciemności. O skrzypki.

— Moje skrzypki!... Oddajcie!... Skradli!...

Huknął krzyk, przedarł się przez mury łoskotem piorunu. A on, w okrzyku doznając może aku-

stycznej rozkoszy, zbuntował się przeciwko tyranji milczenia, i, powaliwszy się całym ciałem na pancerz drzwi, zaśpiewał w niebogłose, w ekstatycznym szale:

„Vorrei baciare i tua capelli...” Zadrzało, zadzwoniło więzienie. Bo dzikie pienia „zakazanej muzyki”, odbijając o mury, niby o sympatyczne dno skrzypiec, rozlały się wstęgami miłosnej melodji, rozleciały po przez otwarte przestrzenie, rozhulały.

„Vorrei morir per te, angel di Dio...”

W nocne milczenie skazańców runęły akordy cudownej żądz, zelektryzowały pustelników i bodaj wywarły z utęsknionych piersi najwyższy ton protestu przeciwko mniszej klauzurze. I całe więzienie rozegrało się niesłychaną muzyką, skojarzyło się w wulkanicznym okrzyku: „miłości! miłości!...”

Wtrącono go do lochu, do „czarnej komórki” na trzy doby o chlebie i wodzie.

To go dobiło.

Pękła jakaś pętlica w jego zwojach mózgowych i odtąd wałęsał się po lazarecie wieziennym, między łózkami kretynów i wyrodków, zdychających powoli.

W milczeniu zakuty, nie odpowiadał na pytania. Godzinami spoczywał przy oknie i, nucąc coś w duszy, patrzył na niebo, na drzewa, na ptaki, bardzo cichy, podobny do obłoków, wiszących nad ziemią, w boskiej obojętności i pogardzie świata.

A gdy słońce słało się na martwej jego masce, w biednej piersi szkieletu podnosiły się jeszcze eteryczne przecucia szczęścia i miłości i nucił:

„O mia imamorata! O tesor mio!...”

Gdy akacje okryły się śnieżnym kwieciem i dobre ptaszki kwiliły pod oknami nędzarzy, zapadających się w dno niedoli, zagaśł...

Flora przywdziała żalobę.



SPIS RZECZY:

Wielmożny Pan Lokaj	5
Ironja życia	47
Analfabeta	85
Tajemnica wuja Andrzeja	97
Zakazana muzyka	109

